



Nie dotyczy się

154

ARTUR W. HAUSNER

L I S T O P A D

1918 R.

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ



LWÓW

*NAKŁADEM ZARZĄDU OKRĘGOWEGO ZWIĄZKU PRACOWNIKÓW KO-
LEJOWYCH RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ (Z. Z. K.) WE LWOWIE*

1928

41 / 34

HJ 601
HJ 12 65

41404
I

Księg. Politechnicza Warszawa

3. x 34 cena 1.50 27.



*Pracę tę poświęcam lwowskiej klasie robotniczej,
która, w zrozumieniu szczytnych haseł socjalizmu
polskiego, w dniach ciężkich, w dniach grozy, obo-
wiązek swój całkowicie spełniła.*

AUTOR

PRZEDMOWA

Uproszony przez miejscową grupę Związku Zawodowego Kolejarzy (Z. Z. K.) aby w specjalnej broszurze w dziesięciolecie walk o Lwów opisać ówczesne wypadki, udział w nich i rolę robotników, zwłaszcza kolejarzy, podjąłem się tego zadania. Jest ono jednak bardzo trudne, przede wszystkim dlatego, że około mej osoby skupiały się siły robotniczego Lwowa, które mojem zdaniem, w wielkiej mierze zaważyły na przebiegu walk i ostatecznem zwycięstwie.

Pisać zatem o tych wypadkach, to pisać wiele o sobie, a to, przynajmniej dla mnie, nie jest rzeczą łatwą.

Z drugiej zaś strony, poczuwam się do obowiązku wobec historii, — ze względu na wielkie ofiary, jakie w walkach tych poniósł Lwów i na dziejowe znaczenie zdarzeń ówczesnych — aby dać obiektywny przebieg wypadków i z ich powodzi wydobyć to, co istotne, to, co zaważyło na szali. Najbardziej celowi takiemu odpowiadałaby forma pamiętnika. Pamiętnik taki istotnie spisałem, trudno byłoby mi go jednak w całej rozciągłości dziś już opublikować.

Wypadki listopadowe, to walka bratobójcza pomiędzy dwoma narodami, które, czy się to komu podoba, czy nie, żyć muszą obok siebie. Walka ta, która ciążyć będzie długo na ich współżyciu, wywarła

na mnie wielkie wrażenie. Żyłem bowiem i działałem w środowisku klasy robotniczej polskiej i ukraińskiej. Działając w ciągu dziesiątek lat w imię wspólnych ideałów, w szczególności w imię niepodległości obu narodów, nie przypuszczałem, że na drodze do tego celu stanie straszliwy koszmar walk listopadowych.

Pokazało się jednak, jak mało jest różniczkowane społeczeństwo ukraińskie, jak słabą jest jego klasa robotnicza i jak małe były wśród niej wpływy socjalizmu.

W dniach przełomu dziejowego robotnik ukraiński uległ wpływom obozu szowinistów ukraińskich, których biurokracja wiedeńska użyła za narzędzie mściwej swej polityki, rzekomo w interesie Ukraińców i Austrii samej, a wymierzonej głównie przeciwko Polsce.

Wstrzymywałem się więc z opublikowaniem pamiętników, by nie krwawić ran, by nie utrudniać możliwości porozumienia, które już w dwa lata później realizować się zaczęło w polityce narodowego bohatera Ukrainy, Petlury. A w porozumienie obu narodów wierzę jeszcze dziś, bo pracuje nad nim tak potężny czynnik, jakim jest Rosja, — choć dziś jest ona czerwoną... — przez swoją tradycyjną imperjalistyczną politykę dawnych carów rosyjskich.

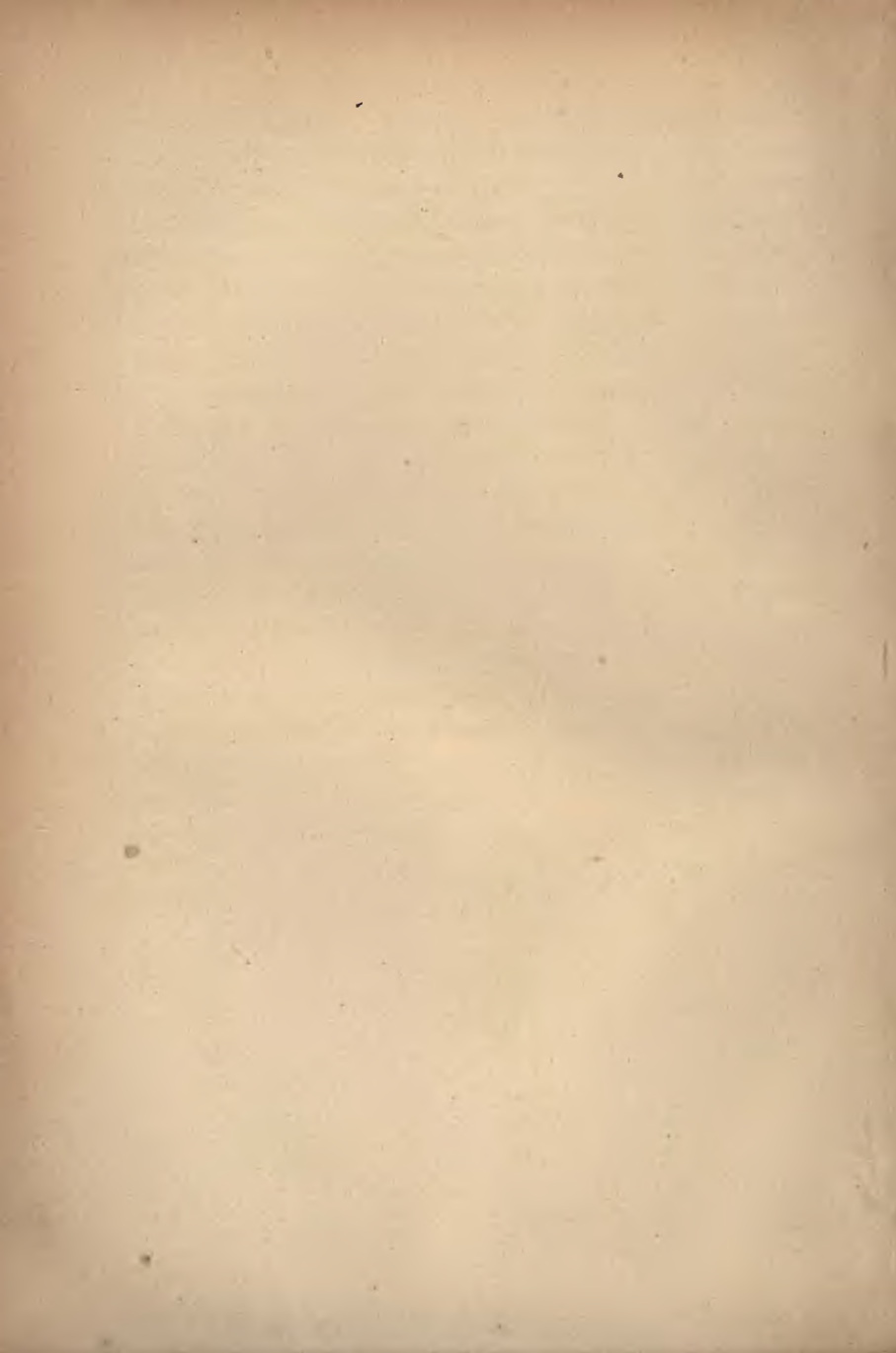
Jeżeli jednak zdecydowałem się dziś choćby w skrócie, wypadki ówczesne opisać, to dlatego, aby w czasie 10-lecia, w którym pojawi się zapewne wiele publikacji, wnieść nowy materiał i oświecenie inne, niż nadali im moi poprzednicy, pozostający pod wpływem ideologii narodowej demokracji.

W okresie wojny narodowa demokracja na terenie b. zaboru austriackiego leżała w gruzach. Przeciwwstawiała się bezwzględnie ideologii niepodległo-

ściowej, zwalczała Legjony, nadzieje swoje oparła na zwycięstwie Rosji i runęła w przepaść. Rozbita i rozproszona w chwili, kiedy kierunek niepodległościowy w całej pełni realizował swój program, poczęła skupiać swoje szeregi, pragnąc za każdą cenę zrehabilitować się w społeczeństwie. Teren Małopolski Wschodniej był najbardziej odpowiedni, a wypadki lwowskie dawały ku temu najlepszą sposobność, toteż starano się wysunąć na czoło akcji i prowadzić ją tak, — często wbrew interesowi sprawy — by splendor „obrońców Lwowa“ spadł na cały jej obóz. Świadczy o tem nie tylko jej zachowanie się i działalność we Lwowie, ale i w innych miastach polskich. Temu to faktowi przypisać należy przejawiającą się tendencję we wszystkich publikacjach, o czem wspomniałem wyżej, naturalnie ze szkodą historycznej prawdy, o którą głównie chodzi.

Podjmując się spisania tych wypadków, będę się musiał zająć także rolą poszczególnych ludzi, zmarłych już, oraz żyjących dotąd. Czy opis ten wypadnie na ich korzyść, lub nie, nie moja w tem wina, — piszę bez tendencji, dążąc tylko do najobiektywniejszego przedstawienia sprawy.

AUTOR



I

POLITYKA MOCARSTW CENTRALNYCH

Bezpośrednią przyczyną wypadków listopadowych we Lwowie była polityka Austrii w okresie wojny światowej. Jej przebieg stwarzał kolejnie raz klęski, grożące rozbiciem monarchji, raz wielkie nadzieje na światoburcze plany sfer rządzących.

Polityka ta oddziaływała głęboko na stosunki ukraińsko-polskie, które i tak zaogniały się, dzięki dominującym wpływom narodowej-demokracji w wewnętrznym życiu b. Galicji. Nie chcemy przez to powiedzieć, że nie zawinił nacjonalizm ukraiński, choć ze stanowiska demokracji polskiej był o tyle sympatyczniejszym, że w polityce ogólniejszej zwracał się przeciwko Rosji.

Stosunki polsko-ukraińskie mają zresztą swoją daleką historję i omawiać ich tu wcale nie zamierzam. Tak więc, jak powiedzieliśmy wyżej, polityka Austrii, względnie i Niemiec, miały bezpośredni wpływ na zaostrzenie się antagonizmów, które rozgorzały krwawą łuną w wypadkach lwowskich.

Mocarstwa centralne nie umiały nigdy zająć zdecydowanego stanowiska w kwestji polskiej. Przyczyniło się to niechybnie do ich klęski, a historia to wykaże. O ile kiedy wobec opinji polskiej i świata politycznego zrobili w tej materji jaki krok naprzód,

to równocześnie wyszukiwały w koncepcji tej trudności, aby tylko nie doprowadzić do jej urzeczywistnienia. Na północy jako argument miały Litwinów, na południu Ukraińców. W Austrii zwłaszcza Ukraina była w modzie. Wykorzystywały to zrećźnie Niemcy, niosąc bezpośrednio Ukraińcom pomoc i środki. Austria rachowała, że w razie, gdyby już na rzecz Polski zrzec się musiała części Galicji, to przypadłaby jej w udziale reszta kraju. Coby to miało być i w jakiej formie, o to głowa polityków austriackich nie bolała. Raczej przypuścić należy, że była to koncepcja wysuwana przeciwko Polsce, a nie w interesie Austrii. Takie to i tym podobne posunięcia mocarstw centralnych zaostrzyły antagonizm polsko-ukraiński, co znalazło wyraz w walkach listopadowych, gdy runęła Austria, a z nią wszelka władza.

Najjaskrawiej wystąpił antagonizm między obu narodami po traktacie Brzeskim, mocą którego w układzie z Rosją wyłączono z terytorjum Polski Chełmszczyznę i Galicję Wschodnią.

Rząd austriacki nie ośmielił się wobec Polski przyznać się jawnie do tego kroku. Utrzymywanie w tajemnicy tego posunięcia nie pomogło, bo społeczeństwo polskie dokładnie o tem wiedziało i w odpowiedzi na perfidny ten gwałt urządziło w dniu 17 lutego 1918 r. tak potężną manifestację, że od tego dnia władza Austrii na terenie b. Galicji moralnie istnieć przestała. Jednodniowy strejk kolei i wszystkich urzędów, przytem niebywała manifestacja tłumów, były straszliwym ciosem dla prestige'u państwa.

Dodać trzeba, że działo się to w czasie, kiedy fronty mocarstw centralnych trzymały się mocno,

kiedy władza wojskowa na pozór nie straciła nic na uroku — a tymczasem wobec demonstracji stała bezsilna.

Władza komendy głównej zatrzymała się u granic kraju. Wszelka komunikacja z resztą państwa na terenie Galicji została przerwana. Żadna depesza, żaden telefon nie odszedł. Nie odszedł żaden transport wojska, materiałów wojennych czy też żywności.

Zorganizowaniem strejku kolejowego, który w tak wysokim stopniu przyczynił się do spotęgowania manifestacji po traktacie brzeskim, zajął się tajny komitet, powstały we Lwowie, jeszcze we wrześniu 1917 r. Wybitny w nim udział, obok kilku urzędników, (dr, Świgost, Varhely, Zieliński), brali nasi towarzysze: Kuryłowicz, Hütter, Des Loges i wielu innych. Strejk ten był potężnym udarem a bezsiła wobec niego zbudziła w duszach małych ludzi biurokracji wiedeńskiej cichą zemstę. Występowała ona odtąd wrogo i bez osłonek już, przeciwko Polsce i zaczęła spiskować z Ukraińcami. Ci chwycili się obu rękami planów biurokracji, które odpowiadały nastrojowi w społeczeństwie ukraińskim, pielęgnowanemu przez Niemcy, z hasłem: „Z namy Boh i Nimci“!

Naiwna wiara polityków ukraińskich, opierająca się o etnograficzną masę chłopską, dla której zagadnienie państwowości było równoznaczne z hasłem: „Lisy i pasowyska“, — została strzaskana przez rzeczywistość.

W dzikim zaciętrzewieniu nie pamiętali szowiniści ukraińscy, że bez silnej, demokratycznej Polski nie może być mowy o wolnej i niepodległej Ukrainie.

Nietylko w tem znaczeniu, że bez oparcia się o Polskę i bez jej pomocy, dążeń wolnościowych ukraińskich zrealizować się nie da — ale i dlatego, że naród ukraiński napotkałby musiał w stosunkach wewnętrznych przy organizowaniu państwa na trudności prawie nie do pokonania.

Łatwiej to jeszcze pojąć dziś, gdy się ma żywy przykład Polski, co przejść musiała, aby się ukonstytuować wewnętrznie i byt swój ustalić. A każdy, choćby z najbardziej zacierzewionych Ukraińców, przyznać musi, jak wielka zachodzi różnica między jednym społeczeństwem, a drugim. Różnica, polegająca na tem, że społeczeństwo polskie pod względem społecznym jest zróżnicowane, posiada silne poczucie państwowości, okupione krwią przez każde niemal pokolenie, od czasu jej utraty. Tych pierwszorzędných wartości nie posiada chłopskie społeczeństwo ukraińskie, bez tradycji państwowej, w którym psychika i ideały kształtowała wyłącznie religja i to w wielkiej części prawosławna.

Różnicę tę ocenił i zrozumiał publicysta ukraiński Tymnickij, który po traktacie brzeskim, w czasie największego trjumfu nacjonalistów ukraińskich, w tygodniku, wychodzącym w Wiedniu, umieścił artykuł, przestrzegający przed optymizmem i przedwczesnym trjumfem nad Polską.

W zaślepieniu swoim i w nienawiści Ukraińcy nie szukali porozumienia z Polską, z jej demokracją, po rozbiciu Austrii nawet, nie umieli się uwolnić z pod wpływu jej biurokracji i dali się użyć za jej narzędzie. Doprowadzono do konfliktu, niszczącego wielkie siły, które użyte dla wspólnych celów mogły ułatwić wiele rzeczy Polsce, a Ukraińcom zdobyć

niepodległości. Że było to możliwe, dowodzą fakty późniejsze, kiedy na Ukrainie poza Zbruczem wysunęła się postać Petlury, który szukał porozumienia z Polską i do niego doprowadził — niestety, było to już zapóźno. Za wiele wyrosło trudności, uprzedzeń, za dużo stracono czasu, by ze wzajemnego zbliżenia skorzystać.

II

ROZKŁAD AUSTRII

Rozkład Austrii i jej armii zaczął się wybitnie już z końcem 1917 i początkiem 1918 r. Nigdy nie zapomnę, gdy po zaaresztowaniu mnie w końcu grudnia 1917 roku w Warszawie, gdzie pozostawałem po rozbiciu Legionów pod pretekstem przydziału do komisji rozrachunkowej I p. Legionów, odesłano mnie do Krakowa celem odbycia służby w armii austriackiej. W komendzie miasta, gdzie się zgłosiłem, znalazłem tak dużo doradców (i to ze wszystkich narodowości), jakby służby tej uniknąć, że obawiałem się, czy nie kryje się w tem postępowaniu podstęp lub prowokacja. Przekonałem się jednak, że znalazłem niespodziewanie „przyjaciół“ w ogromnym tym aparacie. Zgłosiłem się tam jako chory; jako takiego odsyłano mnie z rozkazem, który powierzano żołnierzowi, celem zbadania do szpitala. „Przyjaciel“ podoficer, wręczając rozkaz żołnierzowi, polecił mu, by „w jaknajkrótszym czasie“ wrócił z powrotem, a równocześnie szepnął mi do ucha, bym zrećcznie go odprawił przed szpitalem i sam zgłosił się do lekarza. Lekarz tego szpitala, po zbadaniu, uznał mnie zdrowym. Wróciłem więc powtórnie do

komendy, gdzie znowu wydano mi rozkaz (jakbym poraz pierwszy się zgłosił) do innego szpitala z tym samym skutkiem. Tak wędrując przez kilka dni, znalazłem wreszcie lekarza, który mię uznał chorym i dał urlop trzymiesięczny i przepustkę do Lwowa.

Tu, nie pytając się nikogo, zdjąłem mundur i zabrałem się do pracy politycznej. Do Lwowa przybyłem na kilka dni przed manifestacją po pokoju brzeskim. Wszedłem w kontakt ze wspomnianym poprzednio komitetem i zabrałem się gorliwie z gronem najdzielniejszych robotników, odbywających nawet służbę wojskową a chwilowo urlopowanych, do roboty; zorganizowaliśmy wszystkie zawody, głównie kolejarzy i robotników miejskich wszelkiej kategorii, pozatem pewne grupy inteligencje, nauczycieli ludowych i t. d.

Protest brzeski był olbrzymi. Odbyła się w różnych punktach śródmieścia. W Rynku przemawiano z czterech trybun. Dzień był słoneczny i ciepły. Zebrały się niezliczone masy ludzi. Przemawiałem przed Sejmem. Ogromny plac i niemal pół ogrodu pojezuickiego przepełniony był morzem głów. Wśród zebranych była ogromna ilość żołnierzy i oficerów.

Przemawiając, nie liczyłem się już z istnieniem Austrii. Podkreśliłem zbrodniczy jej spisek przeciwko narodowi, który jej dał najlepsze pułki, przez niedołęstwo wodzów zniszczone. Wyraziłem przekonanie — zwracając się do żołnierzy i oficerów — że ani jeden już mówiący po polsku pod sztandarem czarno-żółtym nie zginie. Są inne kolory, które najlepiej ogrom ofiary reprezentują: jestto Czerwony Socjalizmu polskiego obok białego koloru, które

tworzą razem symbol żyjącego i dążącego do wolności narodu.

Na trybunie obok mnie znalazł się ś. p. hr. Skarbek, z którym tu poraz pierwszy się spotkałem po konfliktach w 1914 i 1915 roku.

Narodowa demokracja, która dotychczas siedziała jak mysz pod miotłą, po zaparciu się przez pana Głębińskiego wszelkich z nią stosunków, przez czynny udział w tej manifestacji próbowała się zrehabilitować.

Po manifestacji tej, władze wojskowe poczęły się moją osobą interesować; otrzymałem na drugi dzień wezwanie do Komendy Miasta, zwolniono mnie jednak, gdy wykazałem się dokumentem urlopowym. Na następny jednak dzień wezwano mnie ponownie, przedstawiono komisji lekarskiej i nazajutrz poleciono stawić się do służby. Ale i w komendzie lwowskiej znalazłem jak i w komendzie krakowskiej „przyjaciół“, którzy mi równocześnie wygotowali pismo przedłużające poprzedni urlop. A więc z tej samej komendy w tym samym dniu dostałem dwa sprzeczne rozkazy. Naturalnie wybrałem ten, który mi najlepiej odpowiadał — urlop.

Takich faktów było zapewne tysiące, a wszystkie świadczyły niezbicie o rozkładzie armji. Ocenę tę stwierdziły jeszcze dobitniej fakty późniejsze.

W czerwcu już stał się Lwów siedliskiem „dekowników“ i uciekających z wojska, a kryjących się z bronią w rękę w jego zaułkach. Władze wojskowe spostrzegły to i próbowały walki z tym objawem rozkładu, jednakowoż beznadziejnie. Lwów zasypało żandarmerją polową, której dano możliwie najrozszejsze prawa aż do użycia broni w każdym miejsku,

choćby na ludnej ulicy na wypadek, gdyby człowiek na którym spoczęło oko żandarma, na wezwanie jego się nie zatrzymał. Wypadków takich w czerwcu i w następnych miesiącach było mnóstwo. Do ludzi strzelano we Lwowie w tym okresie czasu jak do wróbli. Świadczyło to wszystko o zupełnym rozkładzie armji. Ogół ludności cieszył się z tego, ale z drugiej strony nie docenił konsekwencji takiego stanu rzeczy, które groziły bezpieczeństwu samego miasta. Przekonano się o tem wkrótce, gdy rabunki i kradzieże stały się zjawiskiem powszechnem. Objaw ten zwrócił moją specjalną uwagę. Porozumiewałem się z kołami robotniczymi, by wraz z nimi obmyśleć środki bezpieczeństwa i spokoju.

Wszystko to w sumie wskazywało na zupełny rozkład i na zbliżającą się ostateczną klęskę mocarstw centralnych. Niestety — choć w środowisku takim, jak Lwów, czuł się człowiek odcięty jakby na wyspie. Z prasy niczego się nie można było dowiedzieć. Cenzura rewencyjna — którą wykonywano w ten sposób, że trzeba było przedstawiać rękopis, pozatem odbitkę szcztokową, a następnie i wydrukowany pierwszy egzemplarz — zrobiła z prasy rzecz zupełnie niepotrzebną i nieużyteczną. Przechodziłem sam piekło tej cenzury, mimo to jednak w tygodniku, który wówczas wydawałem, pisałem rzeczy, uchylające się z pod baczego wzroku cenzorów. Oszukiwałem czujność tych biednych, drżących o życie ludzi, tytułami artykułów, które zawsze głośno mówiły o zwycięstwie mocarstw centralnych. Naturalnie w Niemczech coraz bliżej Berlina, a w Austrii coraz bliżej Wiednia...

Niszcząc przez cenzurę prasę, zdawało się masę

ludzkie na chwytnie faktów z powietrza i urabianie sobie opinii na własną rękę, o tem, co jest i co będzie.

Rozkład czuć było w powietrzu. Co do mnie i najbliższego otoczenia, oraz wśród klasy robotniczej nie było żadnej wątpliwości, że lada dzień cały ten państwowy bałagan organizacyjny runie. Chodziło o to, aby na moment ten być przygotowanym. Tworzyło się więc organizacje dla najrozmaitszych celów, niestety, materjału ludzkiego było mało. Poza kolejarzami i gminnymi, z innych związków pozostały lokale, dające tylko świadectwo, że wrzała tu kiedyś praca i bujne życie.

Praca wśród mas szła więc dwoma torami, na zgromadzeniach publicznych, na których mimo wszystko nie można było stawiać wyraźnych i na najbliższą metę obliczonych zagadnień i w organizacjach tajnych, w których omawiano i układano najściślejsze plany.

Przygotowywało się więc w każdym razie umysły na to, co przyjsć miało, a co było Wolną i Niepodległą Polską...

Największy kłopot mieliśmy ze stworzeniem poważnej organizacji zbrojnej. Ośrodkiem tej organizacji na terenie lwowskim był oddział ogólnej Polskiej Organizacji Wojskowej P. O. W. we Lwowie. Nie była ona dość silną, jednak nie o liczbę chodziło, ale o jej kierowników i rozkazodawców. Ci bowiem zmieniali się tak często, że o jednostajnej, ciągłej i wytężonej pracy nie mogło być mowy. W robocie tej była jakaś opieszałość, której źródło leżało nad Zbruczem. Z za Zbrucza przybywali ludzie bez żadnych trudności, ci opowiadali o prze-

wrocie, jak o jakiejś pięknej idylli, bez wstrząśnień, jakby po nocy ciemnej zaświeciło nagle pełną siłą światła, słońce wolności. Te piękne wieści wносиły uspokojenie i tępiły czujność. Tem łatwiej, że troska o zdobycie chleba, zaspokojenie najprymitywniejszych potrzeb absorbowowała siły, każdej niemal jednostki. A trudności w zdobyciu żywności były wówczas olbrzymie. Ten stan rzeczy tępił wrażliwość na piękne wieści z za Zbrucza, masy opanowywała pewna obojętność, nadśłuchiowano jeszcze z wielkiem napięciem i zainteresowaniem tylko wieści z Warszawy.

Warszawa jednak była odcięta, władze okupacyjne strzegły granic silnie, utrudniając niesłychanie wszelką komunikację z Galicją, zwłaszcza ze Lwowem. Zaś wszystko to, cośmy wiedzieli już o Warszawie, o trzech regentach, o gabinecie pana Świeżyńskiego z jego ministrem spraw zagranicznych panem Głębińskim, który wysłał znaną depezę wiernopoddańczą do Buriana, wszystko to nie robiło najmniejszego wrażenia. Mimo to, organizacja ścisła działała bardzo sprężysto, zbierając broń i organizując ludzi.

Październik nie pozwalał już na stratę czasu. Wypadki wskazywały raczej, aby szukać porozumienia dla zjednoczenia wysiłków z innymi organizacjami, które w tym czasie na terenie Lwowa powstawały.

Zdawało się, że największą z nich była organizacja wojskowa przygotowywana przez Narodową Demokrację. Po pierwszych jednak rozmowach i przy bliższem przyjrzeniu się całej tej robocie, doszło się do wniosku, że była to robota jak za-

wsze na efekt, rozkonspirowana zresztą tak dalece, że sam kontakt z nią zagrażał poważnie organizacjom innym, pracującym solidnie nad zorganizowaniem nie fikcji, ale stworzeniem prawdziwej siły. O tej organizacji endeckiej mówiono tak powszechnie we Lwowie i kręciły się w koło niej indywidualnie tak skompromitowane, że aby nie dopuścić do wkroczenia władz, które bądź co bądź istniały jeszcze, zwróciłem się do byłego senatora a ówczesnego redaktora Kurjera Lwowskiego pana Bolesława Wysłoucha, by ten, mając bliższe stosunki z Narodową Demokracją, wskazał jej na te karygodne zaniedbania. W tej sytuacji doradzałem kierownikom P. O. W. ówczesnym oficerom Legjonów panom Stachiewiczowi i de Lavaux, by z organizacją Narodowej Demokracji byli bardzo ostrożni.

Wszystkie te zabiegi, cała praca organizacyjna i konspiracyjna zwracała się przeciw Austrii. Nikt, zwłaszcza w początkach października, nie myślał o Ukraińcach.

W jakiś czas po traktacie brzeskim, po którym Ukraińcy objawiali żywszy ruch i występowali demonstrując nawet we Lwowie — nastrój wśród nich i wszelka żywsza robota polityczna ucichła, tak, że we wrześniu niemal o wszystkim zapomniano. W organizacjach robotniczych stosunek wzajemny był zupełnie poprawny. Zachowanie się Ukraińców nie wskazywało nic takiego, coby nakazywało jakąś nadzwyczajną czujność. Ale, co ciekawsze, Narodowa Demokracja, która przecież żyła z walki z Ukraińcami, nie zajmowała się nimi także, nie wysuwając w okresie nadchodzącego przewrotu straszaka ukraińskiego. Przed wojną przecież wyróżnienie wszyst-

kich Polaków na terenie Małopolski wschodniej było zawsze na ustach każdego endeckiego działacza.

Ten brak zupełnej świadomości co się dzieje, wykazywali endecy nawet w momencie tuż przed zamachem stanu. Gdy profesora Głębińskiego zaproszono w dniu 31 października wieczorem na posiedzenie wspólne obu organizacyj wojskowych, które już miały o zamachu najściślejsze informacje, aby jako polityk wypowiedział swoje zdanie, prof. Głębiński powołał się wówczas tylko na uspokajającą rozmowę z namiestnikiem Huynem, wzbraniał się wypowiedzieć stanowczego zdania za przeciwstawieniem się zamachowi, a w godzinę później wyjechał autem ze Lwowa...

Profesor Głębiński w życiu b. Galicji odegrał dużą rolę. Czy była ona piękną, nie chcemy o tem mówić w tej chwili, ale musimy przyznać, że w organizacji endeckiej, w gronie swoich przyjaciół politycznych uchodził za człowieka niezłomnego i silnego charakteru. Z zachowania się jednak, jak poprzednio wspomnieliśmy, jakże dalekim jest p. Głębiński od typu idealnego polityka określonego przez aforyzm Gambetty: „Człowiek czynu w polityce tylko wówczas zasługuje na to miano, jeżeli umie powziąć decyzję w chwili wyłaniania się samego konfliktu czy zagadnienia, reszta wszystko to drobnostki dziecinne“. Albo, jak powiada Napoleon: „Polityka, tak samo jak strategia jest rzeczą prostą i rzeczą wykonalną (*L'art simple et tout d'exécution*)“. — „Polityk tak samo jak wódz na wojnie, musi być człowiekiem decyzji“. — „I naturą żądną odpowiedzialności“ — dodaje Foch.

Jak z tego widzimy, ani Gambetta, ani Napoleonem p. Głabiński nie jest.

Ukraińcy w okresie tym od lipca nie przygotowywali więc niczego. Cały przewrót w Rosji nie zrobił na nich żadnego wrażenia. Z tego faktu nie chcę wyciągać żadnych wniosków, ale jakżeby to było inaczej w społeczeństwie polskiem, gdyby analogicznie w Warszawie runęła okupacja niemiecka i utworzył się Rząd z woli narodu...

Najwybitniejsi politycy, nie troszcząc się zupełnie, co się dzieje w kraju, siedzieli w Wiedniu zahipnotyzowani polityką Austrii i Niemiec, oparci o jej siłę, nie dbali o siły własne. Hasła, które po zamachu wysunęli, hasła „Zachodniej Ukraińskiej Republiki” — nikt przed tem nie znał i nikt go nie wysuwał. To zachowanie się spokojne Ukraińców usypiało w wielkiej mierze także i społeczeństwo polskie.

Nasza jednak organizacja wojskowa około 15 października z pewnych przesunięć formacji wojskowych austriackich, polegających na tem, że pułki ruskie przesuвано do garnizonów Galicji wschodniej i do Lwowa, a żołnierzy Polaków i oficerów chętnie zwalniano, wnioskowała z tego faktu, że jeżeli nie sfery polityczne w Austrii, to sztab generalny zamach przygotowuje. Naturalnie, nie można było wywnioskować, co i kiedy stać się może, dlatego też najważniejszym zadaniem organizacji wojskowej było prowadzenie ścisłych wywiadów, aby na moment ten odpowiednio się przygotować i zamachowi zapobiec. Że przypuszczenia te były słuszne, przekonaaliśmy się po zamachu, mając dokumenty w ręce, że w grudniu, a więc już po re-

wolucji wiedeńskiej, sztab austriacki działał, jakby nic nie zaszło: gromadził oficerów, wypłacał im pensje, wysyłając ich do armii ukraińskiej. Jeszcze więc jakby z za grobu działała stara maksyma austriacka: „Divide et impera“. (Dziel i rządź).

Zbliżał się koniec października; rozkład był już zupełny. Pozornie wszystko było w porządku, władze urzędowały, wydawały polecenia, nie było tylko ludzi, którzy by się do nich stosowali. Następstwa takiego stanu rzeczy nie dały na siebie długo czekać. Rabunki i kradzieże mnożyły się z dnia na dzień. Rabusie mieli prawdopodobnie jedną wspólną organizację: rabowano systematycznie i planowo według ulic. Przyszła kolej na moje mieszkanie w ulicy Kopernika, po obrabowaniu ul. Potockiego i Leona Sapiehy.

Wobec takiego stanu rzeczy zwróciłem się do Dyrektora policji Dra Reinländera, aby zapytać, czy on ma jeszcze jaką władzę i co sądzi o bezpieczeństwie życia i mienia we Lwowie? Dr. Reinländer był jakby zaskoczony tem pytaniem; po namyśle z zupełnym spokojem odpowiedział mi, że on we Lwowie nie ma żadnej władzy: „Mam tysiąc dwustu policjantów, z tych na dwustu mogę jeszcze liczyć, reszta to bandyci“. W dalszej rozmowie stwierdził, że jeżeli nie powstanie, nie wyłoni się jaka potężna organizacja, to bandyci opanują miasto. We Lwowie, według jego oceny, kryje się kilkanaście tysięcy żołnierzy uzbrojonych. Element to wogóle niebezpieczny, a ukrywając się w zaułkach, utożsamia się z mętami miasta, tworząc siłę zdolną do jego opanowania.

Rozmowę tę z dyrektorem policji lwowskiej podaję ściśle w całej osnowie, potwierdza ją obecny

starosta grodzki p. dr. Reinländer, któremu ją przypomniałem.

Zwracam szczególną uwagę czytelnika na nią.

Po walkach bowiem listopadowych we Lwowie, w dniu opanowania miasta przez siły polskie, zresztą bardzo skromne, gdy te w pościgu za nieprzyjacielem znalazły się poza miastem, wówczas to na terenie miasta podniósł głowę, przytłumiony częściowo walką, bandytyzm. Uzbrojeni, gotowi na wszystko, rzucili się na ludność przedewszystkiem żydowską. Że ta w okresie przewrotu, zwłaszcza w czasie walk, nie cieszyła się sympatją społeczeństwa polskiego, to nie ulega wątpliwości. Bandyci czuli to jakby instynktem i rzucili się przedewszystkiem na dzielnicę żydowską — choć mógłbym wyliczyć setki faktów, że nie oszczędzali i chrześcijan. I dlatego to tak niesprawiedliwą i tak boleśnie krzywdzącą była opinia społeczeństwa żydowskiego, że Polacy, że wojsko urządzało pogromy. Może być, że opinia ta wyrosła z nieświadomości, ale świadomą była robota pewnych polityków żydowskich, którzy znali stan bezpieczeństwa we Lwowie, a jednak rozgłosili po całym świecie, że pogromy żydów były dziełem Polaków!

Tą sprawą zajmę się jeszcze w dalszym opisie walk listopadowych, przytoczę fakty niezbite, które świadczyć będą, jak energicznie reagowało na zabójstwa i grabież dzielnicy żydowskiej, społeczeństwo polskie.

Po rozmowie z dr. Reinländerem postanowiłem działać natychmiast i przestrzec społeczeństwo lwowskie przed grożącym niebezpieczeństwem. W tym celu nazajutrz zwołałem wielkie zgromadzenie lu-

dowe w Sali Sokoła II-go na Gródeckiem. Na zgromadzeniu tem przedstawiłem stan rzeczy — grożące niebezpieczeństwo — i wezwałem robotników do zorganizowania sił, któreby mogły niebezpieczeństwu opanowania miasta zapobiec. Mówcy, którzy przemawiali później, jak tow. Całka, Lang, śp. Marecki, śp. Jahnson, Kuryłowicz i inni do faktów przytoczonych przezemnie dołożyli całą plejadę innych; wszystkie one wskazywały i podkreślały jeszcze bardziej grożące niebezpieczeństwo.

Sprawozdanie z tego zgromadzenia, które napisał obecny na zgromadzeniu tow. Eitelberg, urzędnik kolejowy, zamieściłem w wyszłym z druku tuż przed zamachem, wydawanym przezemnie tygodniku („Głos Robotniczy“). Niestety ten ostatni numer „Głosu“ przepadł częściowo na poczcie, a częściowo został zniszczony w lokalu administracji, który po zamachu opanowali Ukraińcy. Żałuję, że nie mogę przytoczyć tego sprawozdania, bo byłoby ono jeszcze jednym dokumentem o stanie bezpieczeństwa i jak nieuzasadniona była opinia o pogromach.

Nie tracę jednak nadziei, że uda się jeszcze w jakichś archiwach lub bibliotekach publicznych, czy też prywatnych, sprawozdanie to odnaleźć.

III

W KRAKOWIE

W środę 29 października zostałem wezwany depeszą przez tow. Daszyńskiego na posiedzenie Komitetu Wykonawczego Partji do Krakowa. W pierwszej chwili, wobec wytworzonego stanu rzeczy we Lwowie, nie myślałem nawet o wyjeździe; wydawało

mi się to prawie niepodobieństwem. Przeważała jednak, po rozwadze, chęć dowiedzenia się, co się dzieje w Warszawie i w reszcie całego Bożego świata, bo we Lwowie nie mieliśmy żadnych wiadomości. Uplanowałem zatem wyjechać w czwartek; skłoniłem tow. Obirka i postanowiliśmy razem udać się na posiedzenie Egzekutywy. Cały wieczór w środę przepędziłem na posiedzeniach w organizacji wojskowej i cywilnej.

W następny dzień więc, w czwartek 31, po porozumieniu się ze wszystkimi organizacjami, zdecydowałem się popołudniu pośpiesznym o godzinie 2-giej z tow. Obirkim wyjechać. Tuż przed odjazdem pociągu w mieszkaniu mojem przy ul. Kopernika zjawił się kapitan De Lavaux i podał szereg faktów z przesunięć garnizonów ukraińskich. Z relacji tej, choć była ważną, można było wywnioskować tylko już pewnie, że na zamach się zanosz, jednak ta relacja, jak i inne, nie wskazywały na to, żeby zamach mógł nastąpić pierwszego, czy też nawet drugiego listopada. Tak się nam obu zdawało, tembardziej więc nalegał De Lavaux, żeby do Krakowa wyjechać, porozumieć się z organizacją krakowską, przedstawić stan rzeczy we Lwowie i co najważniejsze, przywieźć jakiekolwiek wiadomości o tem, co się dzieje w Warszawie. Wyjechaliśmy tedy z tow. Obirkim, po południu o 2-giej godzinie i stanęliśmy w Krakowie punktualnie przed godziną 9-tą wieczór.

W ciągu całej podróży, zwłaszcza do Przemyśla, nie spostrzegliśmy nic nadzwyczajnego. Spotykaliśmy wiele bardzo pociągów przepełnionych żołnierzami ze wszystkich frontów, również tłumy ich na dworcach. Wszystko to odbywało się w spokoju i porządku.

Kraków zdaje się w dzień przedtem uporał się już z Austrią. Wyszumiał się do dna, wojskowa organizacja polska obsadziła twierdzę krakowską, na odwachu powiewały sztandary polskie. Miasto więc całe żyło życiem normalnem. Kraków zresztą oswoił się był już od dawna z tym nowym stanem rzeczy, bo już na parę miesięcy przedtem był zrewoltowany. Młodzież krakowska i robotnicy nie podarowali ani jednemu emblematowi państwa austriackiego. Dwugłowe orły oddawna spadały już głową na bruk krakowski a biedne psy krakowskie miały dużo kłopotu z pozbyciem się rozmaitych orderów i odznaczeń ze swych ogonów.

Nazajutrz więc w piątek o 10-tej rano znalazłem się na posiedzeniu Egzekutywy. Od towarzyszy krakowskich dowiedziałem się w ciągu tych paru godzin pobytu o wszystkim. Ich radość beztroska nie mogła rozprószyć mego niepokoju, co się dzieje w tej chwili we Lwowie? Poranna prasa krakowska z piątku nie przyniosła żadnych wiadomości.

Na posiedzeniu zdawano sprawę o pertaktacjach z rozmaitemi grupami politycznymi całej Polski, dużą uwagę poświęcono rozmowie z ks. Czartoryskim, który z ramienia regencji warszawskiej i gabinetu Świeżyńskiego, przyjechał do Krakowa, aby w roli *quasi* komisarza rządowego objąć władzę nad byłym zaborem austriackim. Rozmowę z księciem z ramienia P. P. S. D. prowadził tow. poseł Daszyński obok delegatów innych stronnictw, między innymi posła „Piasta” Witosą.

Utkwił mi w pamięci groteskowy obrazek opowiedziany przez Daszyńskiego, jak stary parlamentarzysta austriacki, poseł Witos, zasiadłszy w fotelu

obok księcia Czartoryskiego z całym spokojem i wielką gorliwością czyścił zwyczajnym pięciogroszowym kozikiem paznokcie.

Sens rozmów był taki, że książę chciał wziąć władzę, jednakowoż utworzona już wówczas komisja likwidacyjna, na razie przynajmniej, delikatnie, ale odmownie rzecz załatwiła.

Inne sprawy na porządku dziennym nie zajmowały mnie wcale — czekałem na swoją kolej jako sprawozdawca o stosunkach w Galicji wschodniej. Niestety, ten punkt odłożyliśmy na dzień drugi, na sobotę 2-go listopada. Przerwę w obradach wykorzystaliśmy z tow. Obirkiem, by zebrać wiadomości z terenu lwowskiego. Zaniepokoiło nas, iż prasa popołudniowa krakowska doniosła, że depesze i telefony ze Lwowa nie nadeszły. Władze krakowskie tłumaczyły nam to jako objaw powtarzający się często i nie niepokoiły się tem wcale. Dla nas jednak obu taka opinia władz mówiła bardzo niewiele. Udałem się na dworzec, by z urzędu ruchu, ewentualnie od kolejarzy dowiedzieć się, czy pociągi lwowskie nadeszły i czy nie wiedzą cokolwiek, co się dzieje we Lwowie? I tam zapewniono nas także, że pociągi przyszły, mówiono jednak tylko o pociągach z Przemyśla.

Pierwszą dopiero wiadomość przyniosły pisma krakowskie poranne, że we Lwowie były jakieś zamieszki, demonstracje, podane to było jednak w takiej formie, że można było przypuszczać, że chodzi tu o jakąś zwykłą awanturę. I dopiero popołudniowa prasa zanotowała fakt, który dla mnie i dla Obirka nie pozostawiał żadnej wątpliwości, że do zamachu przyszło i że walka we Lwowie wre na dobre. Po-

dano bowiem w lakonicznej bardzo relacji, że na dworcu lwowskim przyszło do walki, a odgłos karabinów maszynowych i ręcznych dochodził do Zimnej Wody.

Z rana na posiedzeniu, w którym obok nas obydwóch, tow. Obirka i mnie, brali udział jako delegaci Galicji Wschodniej, tow. poseł Diamand, tow. Łopatka z Kołomyji, tow. Szalaśny ze Stanisławowa i delegat z Borysławia (kto nim był, nie pamiętam) przedstawiłem sprawę, nie kryjąc obaw, że może już w tej chwili, kiedy to mówiłem, rozgrywają się walki.

Krakowscy towarzysze nie dzielali wówczas w całości mojej opinii, uspakajali raczej, zalecając porozumienie się z Ukraińcami a przede wszystkim z arcybiskupem Szeptyckim. Dyskusja skończyła się uchwałą, mocą której, Komitet Wykonawczy upoważnił mnie i tow. Obirka, jako delegatów do pertraktacji, mających na celu porozumienie się z politykami ukraińskimi celem pokojowego ułożenia stosunków.

Depesze popołudniowe, o których wspominałem wyżej, wskazywały nam obu, że decyzja jest spóźniona, więc i misja nasza biegu rzeczy odwrócić już nie może.

IV

POWRÓT DO LWOWA

Postanowiłem wrócić za każdą cenę do Lwowa. Wieczne pociągi jednak niestety odchodziły z Krakowa tylko do Rzeszowa. Pozostał mi zatem jeden tylko pociąg poranny pośpieszny, który, jak

mi mówiono na dworcu, dowiezie mnie do Przemyśla.

Jak z tego wszystkiego wynika, zachodnia Galicja i Kraków, wtedy, kiedy we Lwowie rozgrywały się krwawe walki, w ciągu pierwszych dwu dni nie wiedziały o nich prawie nic. Co więcej, władze w Rzeszowie, Jarosławiu i Przemyśle, a więc sąsiadujące z terenem, na którym zamach ukraiński się odbył, nie wiedziały także nic, jak to wywnioskować mogłem z rozmów w czasie podróży na wszystkich niemal stacjach, na których pociąg pośpieszny się zatrzymywał.

Świadczy to dobitnie, jak pojmowali obowiązki ówcześni starostowie i urzędnicy polscy w ogólności.

V

POD OKUPACJĄ UKRAIŃSKĄ

W Przemyśle na dworcu, gdzie znalazłem się o godz. 2-giej popołudniu w niedzielę z towarzyszami Łopatką i Szałasnym, wszystko było mi już jasne jak na dłoni: dworzec opanowany był przez Ukraińców. Pociąg pośpieszny krakowski stanął przed mostem na Sanie. Trzeba było teraz pomyśleć, jakim cudem dostać się do Lwowa.

Przeszedłszy most piechotą, nie udałem się do stacyjnego budynku, gdzie urzędowały władze ukraińskie, a natomiast skierowałem się na peron, który zaległy setki a może i tysiące żołnierzy, przybyłych pociągami z zachodu. Wmieszany w ten tłum, złożony przeważnie z Ukraińców, dowiedziałem się od nich, że obozują tak od wczoraj, że nikt nie chce z nimi mówić i odesłać ich dalej na wschód do wsi

swoich i rodzin. Tłum ten wyglądał okropnie. Ludzie obdarci, zbiedzeni, głodni, mimo straszliwej krzywdy, jaką im na ziemi ojczystej już wyrządzono, nie zajmując się nimi — byli spokojni i potulni, skarżyć się umieli tylko ze łzami w oczach.

Spostrzegłem, że będę miał w nich sprzymierzeńca i że wspólnymi siłami potrafimy wymódlć na nowych władcach, że przecież postarają się odesłać nas z Przemyśla. Wysyłałem przeto jedną deputację po drugiej, naturalnie coraz większe i coraz mniej pokorne... Znalazłem sam zestawiony ciężarowy pociąg i maszynistę, a ten mi powiedział, że lokomotywy są. Wobec tych faktów wszelkie wymówki administracji przed tłumem już podnieconym były bezskuteczne, tłum przyjął groźną podstawę, opanował pociągi i wybierał się do ogrzewalni. Postawa jego uczyniła wrażenie. Znalazła się lokomotywa, znalazł się maszynista i pociąg ruszył. Nowi władcy zemścili się dotkliwie na zbuntowanym tłumie. Na pierwszej bowiem stacji, gdzie znaleźliśmy się około 5-tej popołudniu, w Medyce, po zatrzymaniu się pociągu zrobiono rewizję. Odbyla się ona w ten sposób, że po otwarciu wagonu jakby banda oprychów, trzymając na cynglach karabinu palce, z wielkim krzykiem, grożąc strzałem, wzywała do podniesienia rąk w górę. Potem wpadła do wagonu i obdzierała wszystkich do naga.

Dziwnym trafem ocalałem w tych przejściach na każdej niemal stacji ja sam. Czemu to zawdzięczam, nie wiem. Może pogardzie, z jaką patrzyłem na tę dzicz, która tak skrupulatnie obdzierała swoich braci, tę nędzę żołnierską, wlokącą się do domu całymi tygodniami z najdalszych krańców byłej mo-

narchji habsburskiej. Pogarda zastępowała wszelką litość, nie zabiła jednak troski i myśli na temat, co dzieje się we Lwowie, opanowanym przez podobny żywioł, który taki zaprowadził ład i porządek na każdej stacji długiej linii z Przemyśla do Lwowa.

Między stacjami przysłuchiwałem się rozmowom tych nieszczęśliwych ludzi. Nigdy w życiu nie słyszałem tylu przekleństw i takiej w nich nienawiści za krzywdy im wyrządzone. Jeden z nich mówił: „W domu niema odzieży zupełnie, w tym płaszczu dwa lata byłem na froncie, mundur zdarli mi Czesi, pozostawili jednak płaszcz — przyjechał człowiek do kraju i w ten zimny czas z gołego ciała zdarli mi ten łach“. A gdy rozpaczającemu zwróciłem uwagę że zrobili to swoi, popatrzył na mnie niedowierzająco, splunął z wyrazem pogardy i wykrzyknął: „Szczó! te szczeniata!“.

Z rozmów z tymi ludźmi, z ich zachowania się, znając zresztą dobrze ukraińskiego chłopą, przyszedłem do wniosku, że do władzy na terenie Wschodniej Małopolski dostał się najciemniejszy i najdzikszy element. W taki to sposób, przy akompaniamencie dzikich scen w nocy z niedzieli na poniedziałek dostaliśmy się do Mszany, stacji odległej około 20 km od Lwowa.

W Mszanie pociąg stanął. Stał długo, bardzo długo. Wyszedłem z wagonu, by dowiedzieć się o przyczynie. Zbliżywszy się do lokomotywy, zauważyłem, że na lokomotywie niema nikogo. Jakiś człowiek obok stojący powiedział, że niema co czekać, pociąg nie pójdzie, bo maszynista uciekł. Zawiadomiłem o tem jadących, ci wyszli z wagonów na tor, poczęły się narady, co robić dalej?

Zdecydowaliśmy się iść piechotą do Lwowa. Rozwinał się olbrzymi pochód, którego jednak w zupełnej ciemności ogarnąć nie było można. Uszliśmy tak parę kilometrów, gdy z tyłu za nami odezwał się stuk nadchodzącego zwolna pociągu. Światłem zapalanych gazet i papierów zatrzymaliśmy pociąg. Zwróciłem się wówczas do maszynisty (a był to ten sam, który zdecydował się jechać z Przemyśla) i zapytałem co się stało i dlaczego uciekł w Mszańcie? Na to odpowiedział mi, że nawet kilku ukraińskich maszynistów nie chciało w tych warunkach podjąć się służby, a coś dopiero on Polak ma się wysługiwać, — *ipsissima verba* — tej dziczy. Przytem w poufnej rozmowie opowiadał o rozmaitych scenach, których był świadkiem. Na moją prośbę, żeby jednak przynajmniej do Zimnej Wody pociąg doprowadził, zgodził się wreszcie, pociąg ruszył i znaleźliśmy się na stacji w Zimnej wodzie odległej o 10 km od Lwowa.

Ponieważ maszynista uciekł, jak poprzednio a nie było nikogo, ktoby mógł lokomotywę poprowadzić, musieliśmy się pogodzić z losem, wysiedliśmy ponownie z wagonów i rozbiliśmy obóz w lesie. Był to mój pomysł, który wcieliłem zaraz w życie, bo zaznaczyć muszę, że cały ten tłum poddał się z całą chęcią pod moją komendę. Słuchano mnie, ale równocześnie i... pilnowano. Uznano mnie za swojego przywódcę. Ponieważ było ciemno i zimno niesłychanie, w lesie Zimnowódzkim poleciłem porozpalać ogniska, chciałem ludzi ogrzać i zająć ich czemś, aby odwrócić uwagę od siebie. Niestety bowiem, postanowiłem ich zdradzić, uciec od nich i pozostawić swojemu losowi, aby samemu

korzystając jeszcze z ciemności, dostać się do Lwowa *). Oni jakgdyby przeczuwając mój zamiar, pilnowali mnie bardzo. Powiedziałem więc towarzyszom moim, Szałasnemu i Łopatce, by poszli naprzód wzdłuż toru i uszedłszy ze dwa kilometry poczekali tam na mnie. Tak się stało. W jakieś pół godziny później zastałem ich oczekujących. Mogła to być godzina 4-ta w nocy. Postanowiliśmy razem we trójkę iść dalej uważając, by nie zmienić kierunku naszej wędrówki. Znaleźliśmy się wreszcie już na stacji lwowskiej, przy odgłosie padających od czasu do czasu strzałów karabinowych i rewolwerowych. Mogły to być strzały patroli, ale też i bandytów. Pochód na rozjazdach kolejowych był bardzo ciężki. Szliśmy wolno i cicho kierując się na prawo ku Bogdanówce. Wtem nagle, tuż przed nami, w odległości jednego metra, podnosi się okrzyk: „kto idzie“?. W odpowiedzi zapytuję, kto pyta? „Patrol polski“. Zaczęła się rozmowa i z tej rozmowy poznaliśmy w tę noc smutną rzeczywistość. Dowódca patroli znający mnie osobiście, młody Peowiak, opowiedział mi o wszystkim, co zaszło w nocy z 31 na 1 listopada. Pytany co nam doradza, czy się do-

*) Musiałem tak postąpić, bo przeczuwałem, że gdy się dzień rozpocznie może równie rozpocząć się i walka, a w takim razie o przedostaniu się z takim tłumem do Lwowa nie mogłoby być mowy. Musiałem się więc z nimi rozstać, choć niewątpliwie budziły się obawy, że tłum ten, lekceważąc sobie strzały dostanie się w ogień i zostanie zmasakrowany. Niestety — obawy moje były słuszne, bo istotnie tak się stało. W czasie walki o dworzec nieszczęśliwcy ci, wyruszywszy wkrótce po moim odejściu, wpadli między dwa ognie i zostali zmasakrowani. Nieogłębność swoją zapłacili stosami trupów. Dowiedziałem się o tem w parę dni później.

staniemy do Lwowa, odpowiedział, że może, ale wyczuwa w niedalekiej odległości patrole ukraińskie, dodając przy tem, że gdyby się nam udało je ominąć to żeby się spieszyć bardzo, gdyż wkrótce rozpocznie się ze strony polskiej atak na dworzec.

Pożegnaliśmy się z dowódcą patroli i ruszyliśmy naprzód. W niespełna kwadrans usłyszeliśmy szmer i rozległo się natychmiast pytanie po ukraińsku: „kto idzie?” Odpowiedziałem po polsku: „Podróżny z Krakowa” — i rzuciłem się natychmiast z oboma towarzyszami na szyny. To nas uratowało; gdyż po mojej odpowiedzi huknęła salwa z karabinów oddziału żołnierzy ukraińskich. Po wystrzale oddział oddalił się szybko a za nim huknęły strzały z tyłu za nami. Przypuszczam, że były to strzały patroli polskiej, którąśmy poprzednio spotkali.

Sytuacja była niewesoła: dostaliśmy się we dwa ognie. Postanowiliśmy, leżąc na torze wśród zimnych szyn, przeczekać do ustania strzelaniny. Przemarżnięci do szpiku kości, doczekaliśmy się listopadowego brzasku dnia i równocześnie rozgorzałej na dobre, walki o dworzec. Wtedy, rozstawszy się z towarzyszami, którzy torem czerniowieckim udali się w stronę Stanisławowa i Kołomyji, skąd pochodzili, sam przedarłem się na dworzec towarowy, a przed strzałami zewsząd padającymi, schroniłem się do ostatniego wagonu, stojącego pociągu.

Gdy w bliskości dworca i na samym dworcu rozgrywała się krwawa walka, na dworcu towarowym wśród wagonów, gdzie się znalazłem, wrzała walka także, ale cicha i niemniej zawzięta... Walczyli o łup między sobą bandyci! Rozgospodarowali się oni tam na dobre, zasypując przy podziale ry-

żem, mąką, cukrem ziemię na kilkanaście centymetrów. Miałem dosyć ich towarzystwa i rozejrzawszy się, że wagon mój stoi tuż pod szkarpą koło Bogdanówki, wybiegłem i znalazłem się w małym domku nad szkarpą stojącym. Drzwi do sieni były otwarte — zapukałem do drzwi izby, odpowiedziały mi jakieś dziecięce głosy. Wszedłem, zastałem ich troje (najstarszy lat pięć) płaczących w zimnej izbie na barłogu. Zapytane o rodziców, nie umiały przerażone nic odpowiedzieć. Wyszedłem stamtąd z myślą o setkach innych dzieci we Lwowie tak pozostawionych.

Stałem wreszcie przed roгатką gródecką. Zapora roгатki była spuszczone, a obok niej chłopczyzna może dwunastoletni w płaszczu żołnierskim, wlokącym się po ziemi. Strzelał iście z fantazją typowego Łyczakowianina. Strzelał na lewo, prawo, w górę i uśmiechał się do mnie życzliwie. Nie wiem, czy wróg czy przyjaciel — podchodzę jednak do niego śmiało i pytam: „Co ty tak w niebo bijesz“? On mi odpowiada po polsku: „Strzelam do Ukraińców!“ Robię uwagę, że Ukraińcy są nietylko w niebie i żegnam, prosząc, że jeżeli już ma strzelać, to niechże nadal strzela do nieba...

VI

WE LWOWIE

Ulice były puste, była to może godzina 7-ma rano, od czasu do czasu przemknął się tylko wzdłuż ścian domu blady i wylękniony człowiek. Udając się na ulicę Na Bajkach spotykałem trupy ludzkie i zwierzęce niesprzątnięte. Znalazłszy się w bramie domu, w którym mieszkała siostra, zdawało mi się, że ucie-

kłem z jakiegoś piekła i że tu odpocznę, uporządkuję myśli, bo nie zdawałem sobie jasno sprawy, czy to, co przeszedłem i widziałem, było halucynacją, czy też rzeczywistością.^u

Wszedłem do mieszkania około 8-mej z rano. Siostra już nie spała, powitała mnie z wielkim zdumieniem i ukrywanem przerażeniem; może dlatego, że wygląd mój był straszny. Stałem przed nią w strzępach, zabłocony, z pokrwawionymi rękami i twarzą krwią umazaną. Nie mogłem inaczej wyglądać, przedzierając się w ciemności już na samej stacji przez druty kolczaste, potykałem o jakiś materjał budowlany i przedzierałem przez stosy gruzów. Wygląd zewnętrzny siostry, był zapewne wyglądem każdego z mieszkańców Lwowa... Jakiś wielki znak zapytania malował się w oczach i w całej postawie. Miała jednak ona więcej trosk może jak przeciętny Lwowianin. Jedyny syn Tadeusz Jaszcz legionista 3-go pułku, który celem zdania matury przebywał w ciągu października we Lwowie, wyszedł w dniu 1-go listopada i do tej chwili nie wrócił. Przyniesiono go na drugi dzień z przestrzelonym stosem pacierzowym w walkach na Wulce, gdzie przez 4 dni nie zluzowany, nie żywiony, nie chcąc opuścić stanowiska, wytrwał, przepłacając to życiem. Był to chłopiec niezwyklej inteligencji, ideowy, oddany duszą i ciałem walce o wolność i odnoszący się z największem zaufaniem i czcią do Józefa Piłsudskiego, który walkę tę reprezentował. Drugą taką ofiarą w najbliższej mojej rodzinie była jedyna córka siostry mej Bronowackiej, Zofja zameężna Mniszkowa, która w ul. Sykstuskiej, pozostawiona

przez odciętą rodzinę, a chora na grypę, zmarła w mieszkaniu, zapewne z głodu. Znalezione ją dopiero, gdy w czasie pertraktacji z Ukraińcami, sąsiedzi wyszedłszy z piwnic, dostali się do jej mieszkania. Jeżeli piszę o tem, to zapewne, aby utrwalić w pamięci te, tak bliskie mi ofiary, ale chcę również wskazać na ich rodzaj, ile było podobnych i ile serc skrwawionych, w obronie napadniętego zniemacka miasta.

W kilku słowach powiedziała mi siostra wszystko, co przeżyła i o czem wiedziała sama. Byłem tak zmęczony, że zaledwo mogłem zrozumieć, co mówi. Po dwugodzinnym wypoczynku przedarłem się na plac Solskich do Grażyny, gdzie były lokale Związku kolejarzy. Zastałem tam zgromadzonych najdzielniejszych ludzi, z którymi natychmiast, po rozpatrzeniu sytuacji, postanowiliśmy działać. A sytuacja była nad wyraz ciężka.

Położenie streszczało się przedewszystkiem w straszliwym chaosie. Nie było widomego jednego punktu, któryby skupiał koło siebie opinię i wolę mas odciętych od świata, ogniem karabinów. Była komenda, o której nikt nie wiedział, gdzie jest i nie znał nazwiska człowieka, który stał na jej czele.

Nie pojawiła się ani jedna odezwa uświadamiająca ogół o celach walki i środkach. Pozostawiono ludność bez żadnej opieki, bez żywności, bez zabezpieczenia jej życia i mienia. Bandytyzm hulał, rabowano pociągi, w których była żywność i magazyny. Sklepy były pozamykane, jednym słowem cmentarzysko, po którym krążyła steroryzowana ludzka masa.

VII

WŚRÓD TOWARZYSZY

Tak się przedstawiała nam sytuacja na zebraniu, w którym brali udział towarzysze: Kuryłowicz, Całka, Lang, Budzicki, Chojna, Hütter, Talarek, Patkiewicz, Malinka, Herbst, Kisiel, Szpyt, Moss i inni, których nazwisk nie zdołałem zebrać ani zapamiętać. Zawiadomiłem ich o stanowisku partji i o misji, jaką mi powierzono. Na posiedzeniu tem nie powzięliśmy żadnej konkretnej decyzji. Chciałem sam rozpatrzyć się jeszcze w sytuacji lepiej, pomówić jeszcze z innymi ludźmi, a przede wszystkim z komendą. W tym celu udałem się do pana Mączyńskiego. Nie znałem go przedtem zupełnie, nie wiedziałem, kto to jest.

Kandydatura jego na komendanta wysunięta została na posiedzeniu wspólnem obydwu organizacji wojskowych w ostatniej chwili, wieczorem, w parę godzin przed zamachem. Później dopiero dowiedziałem się o przebiegu tej konferencji i o jej wyniku.

U wejścia do gmachu komendy przy ul. Grunwaldzkiej uderzyły mnie przede wszystkim napisy na drzwiach i ich liczba. — Czytam: wydział polityczny, wydział prasowy, aprowizacyjny, bezpieczeństwa, oficer dyżurny, komenda główna, sztab i wiele innych. Na korytarzach spotkałem wielu ludzi znanych, w tem dużo agitatorów narodowej demokracji. Wszyscy nosili odznaki, szlify... Uderzyło mnie to wszystko nie bardzo mile, wreszcie bez dalszych rozważań na ten temat, dostałem się do wodza akcji obronnej, pana Mączyńskiego.

Rozmowę prowadziłem zupełnie nie uprzedzony

Zapytany o sytuację odpowiadał z wielką pewnością siebie i optymizmem — nie wiem, czy był to optymizm „urzędowy“, czy też były to wynurzenia szczere. Przedstawiłem następnie sytuację tak, jak ją oceniałem. Zauważyłem wówczas, że ocena ta zrobiła na nim wrażenie. Pod jej wpływem stracił p. Mączyński pewność siebie i zaczął punkt po punkcie rozważać to co powiedziałem. Uspokajał mnie, że o tem wszystkiem myśli i wszystko to w czyn wprowadzi, dodał jednak, że jest przecież po tamtej stronie Komitet obywatelski, w którym zasiadają i moi towarzysze, że oni w tym duchu działają.

To wynurzenie pana Mączyńskiego było najbardziej uderzające i poznałem z tego, że porozumieć się z panem Mączyńskim będzie bardzo trudno.

Dla dziecka było bowiem jasne, że ludzie odcięci okopami i ogniem karabinowym, znajdujący się pod najściślejszą kontrolą nieprzyjaciela, po tej stronie, nic zdziałać nie mogą na tym terenie.'

Rozmowa ta upewniła mię tylko, że plan, który przetrawiałem w sobie, że plan ten, koniecznie, bez dalszych wahań i w najkrótszym czasie trzeba przeprowadzić. Na końcu rozmowy poprosiłem pana Mączyńskiego, by mi ułatwił rozmowę z arcybiskupem Szeptyckim, w myśl uchwał Komitetu Wykonawczego w Krakowie. Mimo bowiem, że sytuacja jest tak różną od oceny jej w Krakowie — choć z drugiej strony rozumiałem, że z rozmowy z arc. Szeptyckim nic nie wyjdzie — to jednak w myśl dyrektyw, postanowiłem udać się do niego i rozmowę przeprowadzić.

Po wizycie u pana Mączyńskiego, udałem się ponownie na posiedzenie zapowiedziane w Związku

Kolejarzy. Na posiedzeniu tem przedstawiłem plan, który jednomyślnie bez długiej dyskusji przyjęto.

Plan ten polegał na wyłonieniu ciała złożonego z kilku ludzi o prerogatywach rządu. Ludzie ci oparli o zaufanie mas mieliby zorganizować ludność, zrobić z niej siłę, zdolną do oporu i walki, zabezpieczyć żywność, spokój i porządek. Pozatem ująć działalność polityczną w swe ręce, podporządkowując sobie, bez szkody dla akcji bojowej bezpośredniej, komendę naczelną wojsk. Program ten, jak powiedziałem, przyjęto jednomyślnie z wielką otuchą.

Celem przeprowadzenia tego programu, uchwalono zwołać wielkie zgromadzenie ludowe we środę rano w Grażynie, na którem przedłożyć miałem na poprzednio wymienionych zasadach, rezolucję. Upoważniono mnie równocześnie, by wejść w porozumienie z innymi czynnikami politycznymi, i o ile by te na program i współdziałanie się zgodziły, do współdziałania je zaprosić.

Następnego dnia mając wygotowane odpowiednie przepustki wraz z towarzyszem Kuryłowiczem udaliśmy się na plac Jura celem złożenia wizyty arc. Szeptyckiemu. Plac ostrzeliwany był silnie od strony ul. Mickiewicza, udało się nam jednak dojść pod bramę pałacu, do placówki polskiej. Komendant tejże, młody oficer z rewolwerem w ręku, nie rozumiał prawie, co do niego mówiłem. Nie wiem, może ze zmęczenia, był jednak tak zdenerwowany, że postanowiłem się cofnąć, gdyż rozmowa z nim nie dałaby żadnego rezultatu.

Resztę dnia poświęciłem poszukiwaniu za ludźmi odgrywającymi jakąkolwiek rolę w życiu publicznem, ze sfer urzędniczych czy mieszczańskich. Z rozmów

prowadzonych, trudno im było wyjść poza troskę codzienną, z powodu braku węgla, żywności, światła i t. d. Gdy mówiłem z nimi o zorganizowaniu tu sił, pomocy wzajemnej, ukróceniu bandytyzmu, przyjmowano to z niewiarą i pesymizmem. Zupełnie odmiennie rozmawiało się z robotnikiem. Robotnik reagował na wszystko żywo, odnosił się z wielką ufnością do organizacji.

Front ukształtował się w tym czasie po odbiciu dworca mniej więcej wzdłuż ul. Janowskiej do ko-szar Ferdynanda, przez ul. Gródecką ul. Mickiewicza, o ogród jezuicki była walka, ul. Janowską, Sykstuską do żandarmerji, Wulecką do peryferji miasta, i do ul. Gródeckiej włącznie z terenem kolejowym.

Wreszcie we środę z rana o godz. 9-ej staną-łem na zapowiedzianem przezemnie zgromadzeniu. Sala Grażyny i ogromny plac przed Grażyną prze-pełnione były masą ludzką. Aby módz przemówić do wszystkich, przemawiałem z przedsionka sali, tak, że mogłem być słyszany i na sali i na wielkim placu. Program, który zgromadzeniu przedstawi-łem, był już znany. Komitet ściślejszy, który go uchwalał, rozpowszechnił go poprzednio i spopula-ryzował wśród mas tak, że porozumienie z masą było bardzo łatwe. Zgodzono się nań entuzjastycz-nie, uważano go za jedyne wyjście z tej trudnej sytuacji. Po mnie przemawiali: Całka, Lang, Kury-łowicz i inni, rezolucję uchwalono jednomyślnie i przyjęto ją entuzjastycznie.

Chodziło teraz o zwołanie zgromadzenia ze sfer inteligencji i mieszczaństwa. Jak wspomniałem poprzednio, rozmawiałem w tym celu z wielu ludźmi ale mała była nadzieja, że coś w tym kierunku zro-

biono. Zdawało mi się, że będę musiał zrobić to sam, w jaki jednak sposób, nie wiedziałem. Odcinek ten miasta był bowiem silnie ostrzeliwany. Wzdłuż wszystkich prawie ulic świstały kule karabinowe. Ludność przemykała się po pod domami; na ulicach pokazywano się rzadko, porozumienie było więc bardzo utrudnione.

Rozmyślając tak nad zgromadzeniem ze sfer mieszczańskich, spotkałem się z błp. dr. Aschkenasem. Ucieszył się bardzo i zaraz na wstępie zawiadomił mnie, że za godzinę, bo o godz 13-ej w południe, część radnych miejskich zwołała zgromadzenie ze sfer mieszczańskich i inteligencji do szkoły Sienkiewicza. Na zgromadzeniu tym ma się omówić położenie, co należy zrobić i w jaki sposób przyjść z pomocą ludności, pozbawionej wszelkich środków do życia. Skorzystałem chętnie z tego zaproszenia i przyrzekłem, że na zgromadzeniu się zjawię.

Wobec tego wróciłem z powrotem do Grażyny, zastałem jeszcze bardzo wielu ludzi po odbytem dopiero co zgromadzeniu i wezwałem ich, by na godz. 12 zgromadzili się w największej liczbie pod szkołą Sienkiewicza.

Przyszedłszy tam, w wielkiej sali, przepelnionej po brzegi uczestnikami ze sfer inteligencji i mieszczaństwa zastałem także grupę radnych. Ci zasiadłszy przy stole radzili, tworząc sobie niejako galerję z całego zgromadzenia. Przy stole zasiedli pod przewodnictwem radnego Ohlego pp. Chlamtacz, sp. Makowicz, bp. Aschkenase, sp. inż. Czajkowski Mikołaj i może jeszcze ze dwóch więcej, nazwisk ich jednak nie pamiętam. Przedarłszy się przez tłum, niespostrzeżenie przysłuchiwałem się przemówieniom.

Ze zdumieniem zauważyłem, że typ przemówień nie odbiegł zupełnie od typu zwykłych przemówień radców miejskich z czasów najspokojniejszych, na ratuszu lwowskim. Ogólny ich ton wyrażał się biadaniem nad rozmaitymi potrzebami w dziedzinie życia codziennego. — „Ulicami przejść trudno, śniegu nikt nie zgartuje, światła nie ma, brak środków żywności a co najważniejsze, pieniędzy, bo do kasy gminnej trudno się dostać...”

W tym tonie przemawiali mniej więcej wszyscy, nawet tak wybitni i inteligentni ludzie jak bp. Aschkenase.

Trwało to trochę za długo. Poprosiłem o głos. Udzielono mi go natychmiast. Przeprosiwszy radnych, że nie mam wcale zamiaru wziąć udziału w ich posiedzeniu, zwracam się bezpośrednio do zgromadzonych, podnosząc, że inne troski, niż te, o których tu mówiono, stały na porządku dziennym, w chwili, kiedy dzieci stoją w ogniu walki, kiedy życie samo, miasta i jego mieszkańców jest zagrożone. Tych kilka słów zwróconych do zgromadzenia na wstępie, zjednało mi ich z miejsca.

Dalej przeszedłem do omówienia położenia. Przedewszystkiem przedstawiłem sytuację ludności, pozbawionej wszelkich środków do życia, gdy tymczasem ogromne zapasy mąki; cukru i innych materiałów, do dnia dzisiejszego, stają się łupem rzeźmieszków, z którymi ludność spokojna i uczciwa szukać zaczyna kontaktu, bo od nich coś tylko, dla ratowania życia, wydobyć można. Ten stan rzeczy dalej trwać nie może, grozi to zupełną demoralizacją, ro zstrojem a w następstwie osłabieniem siły obronnej.

Najważniejszą jednak rzeczą to obrona sama.

Obrona nie może być tylko sprawą tych, którzy bezpośrednio, zresztą ofiarnie, do walki stanęli. Walka trwa już dni sześć a nikt nie wie, w czyich rękach znajduje się komenda, kto wziął na swoje barki odpowiedzialność za losy miasta i jego mieszkańców. Wielkim błędem ze stanowiska obrony jest to, że nie zorganizowano należycie tyłów; ani też przyływu sił do szeregów, nie zabezpieczono bezpieczeństwa, nie zaapelowano do społeczeństwa, nie pociągnięto go do współpracy dla odparcia wroga.

Następnie omówiłem znaczenie tych krwawych zapasów między obu narodami, których losy wiązały odwiecznymi dziejami. Walka ta oddziaływać może fatalnie na przyszłość obu narodów wobec wspólnego wroga, jakim jest Rosja. Nowej Rosji jeszcze nie znamy, z oparów rewolucji nie wyrósł jeszcze właściwy jej obraz, ale znając jej przeszłość, możemy z góry powiedzieć, że polityka jej wiekowa z dnia na dzień się nie zmieni, będzie ona bardzo groźną dla sąsiadów Rosji, zwłaszcza dla Polaków i Ukraińców.

Ze względu więc na tragiczne położenie miasta, z drugiej strony ze względu na wzajemne stosunki, na wzajemne wspólne interesy powinniśmy wyczerpać wszystkie środki, któreby mogły doprowadzić do porozumienia, a gdy się to nie powiedzie, drogą walki miasto ocalić. Wszystko to w sumie musi ktoś rozważyć, musi ktoś powziąć decyzję i rzecz przeprowadzić. Tego nie może zrobić zakonspirowana komenda. Może to zrobić tylko ktoś, kto będzie miał zaufanie ogółu mieszkańców, ktoś, kto za swoje czyny weźmie odpowiedzialność wobec całego narodu polskiego.

Przedstawiłem wreszcie program i rezolucję

uchwaloną na zgromadzeniu robotniczym przed paru godzinami.

Całe przemówienie i rezolucję przyjęto burzą oklasków. Wołano zewsząd: „Nie chcemy dalszej dyskusji, mamy dość bezrady i chaosu, chcemy czynów i wołamy niech żyją robotnicy! Przypuszczam że okrzyki wyrywały się z piersi ludzi, którzy do-tychczas czuli się jakby osamotnieni, zobaczywszy zaś przez okna sali ogromny tłum zebranych pod szkołą ludzi, w masie tej poczuli się jakby bezpieczni. Nigdy nie przypuszczałem, że w zebraniu tem, stojącym pod wpływami narodowej demokracji, znajdę tyle oddźwięku i tyle męskiej decyzji.

Mimo jednak, że podnosiły się głosy, aby rezolucję przyjąć bez dalszej dyskusji, zabrał głos dr. Aschkenase i wygłosił wspaniałe przemówienie. Załuję, że go nie mogę zacytować, drgała w niem nuta męska, pełna wiary w siły własne. W tym samym tonie przemówił prof. Chłamtacz, poczem uchwalono jednogłośnie rezolucję.

Gdy się to już stało, nagle niespodzianie, tuż za stołem zjawił się śp. pan Tadeusz Cieński.

Zwrócił się natychmiast do przewodniczącego, by mu pozwolono zabrać głos. Przewodniczący, z pewnem zakłopotaniem, próbował odmówić ze względu na wyczerpanie porządku dziennego, jednakowoż p. Cieński oświadczył, że chce przemówić jako delegat Komitetu Obywatelskiego po tamtej stronie, chce więc korzystać ze zgromadzenia, by pewne rzeczy powiedzieć.

Udzielono mu głosu. Mówca zaczął od tego, że słyszał całe moje przemówienie, że zgadza się z niem... prawie zupełnie. On sam boleje nad tem,

co się dzieje, boleje tem więcej, że tu się urodził, że zżył się z ukraińskim społeczeństwem, a już co do chłopów ukraińskich, to ma w nich szczerych i oddanych przyjaciół! — i on sam jest najlepszym ich przyjacielem! Dla zgody więc, on i jego przyjaciele polityczni, jak cały zresztą komitet obywatelski po tamtej stronie, w którym zasiadają przyjaciele polityczni p. Hausnera, robią wszystko, by do porozumienia doprowadzić. Opowiada w dalszym ciągu całą historję powstania komitetu obywatelskiego, historję rozmów, jakie z Ukraińcami Komitet Obywatelski prowadził, a przechodząc do programu przedstawionego przezemnie i już uchwalonego mówi, że przeciwstawiać się nie chce, ale uważa, że utworzenie rządu po tej stronie może być niebezpieczne, że całą sprawę powinien wziąć na siebie czynnik wojskowy, na czele którego stoi tak wytrawny mąż i znakomity dowódca, jakim jest pan Mączyński.

W czasie przemówienia na sali dały się słyszeć szmery i wyrazy niezadowolenia, które wreszcie wybuchnęły protestem: Dość już tego! Po tym nieudalym występie p. Tadeusza Cieńskiego nie zamierzałem początkowo reagować na jego przemówienie, znałem jednak jego metody i wiedziałem, że napewno wystąpi czynnie, skrycie i utrudniać będzie przeprowadzenie całego programu. Zabrałem więc głos, wyrażając na wstępie zdziwienie, że pan Cieński w tak ciężkiej chwili ma odwagę przemawiać. On to bowiem ze swoimi przyjaciółmi, całą szlachtą podolską, przez dziesiątki lat ciążył na życiu i na wzajemnym stosunku obu narodów. Jego to, przez dziesiątki lat gorliwa praca, doprowadziła właśnie do tej tragedji,

którą dziś przeżywamy. Mniejsza o to. Czuję jednak z zajętego przez pana Cieńskiego stanowiska, że spotkam się z jego strony z przeciwdziałaniem. Niech jednak przyjmie do wiadomości, że stoją tu pod szkołą Sienkiewicza, cierpliwie pułki robotników, które pozwolą mi wszelkie działania przeciw ich woli przewyciężyć!

Jeszcze raz posypały się burzliwe oklaski na cześć klasy robotniczej polskiej.

W wykonaniu uchwał zgromadzenia, przewodniczący radny Ohly wezwał przedstawicieli czterech stronnictw, a mianowicie: polską demokrację, ludowców, narodową demokrację i PPS. aby w liczbie po dziesięciu, zjawili się o 6 tej wieczorem, jeszcze dnia dzisiejszego, w domu Urzędników Kolejowych, przy ul. Głębokiej, celem wykonania zapadłych uchwał. Po wyjściu z sali odbyło się ponowne zgromadzenie przed szkołą Sienkiewicza. Na zebraniu tem przedstawiłem przebieg, dopiero co odbytego zgromadzenia, i zawiadomiłem o jego uchwałach.

VIII

KOMITET BEZPIECZEŃSTWA I OCHRONY DOBRA PUBLICZNEGO

O godz. 6-tej wieczór, przy ul. Głębokiej w Domu Urzędników Kolejowych, zebrali się przedstawiciele wszystkich stronnictw, w liczbie około 50-ciu. Zagailem zgromadzenie, proponując na przewodniczącego prof. Chłamtacza. Ze strony narodowej demokracji wysunięto osobę śp. Tadeusza Cieńskiego. Wybrany został prof. Chłamtacz i udzieli mi głosu celem przedstawienia uchwał obydwu zgromadzeń

i rezolucji. Po referacie, który był powtórzeniem tego wszystkiego, co powiedziałem na obydwu zgromadzeniach, rozwinęła się obszerna dyskusja trwająca niemal do godziny 1-szej w nocy.

Narodowi demokraci, będąc w mniejszości, z drugiej strony nie chcąc pozbawić się wpływów w Komitecie, który i tak bez nich byłby utworzony, robili „łagodną“ obstrukcję. Czego tam nie nagadano! Ile wylali łez, ile wątpliwości, ile komplementów mieli dla obecnych tam ludzi z innych ugrupowań politycznych! Jednak taktyka ich zawieść musiała. Delegaci stronnictw w trzech czwartych większości stanęli na stanowisku uchwał obydwóch zgromadzeń i przystąpili do wyboru komitetu. Wybrani zostali: Prof. dr. Marcei Chłamtacz, Emil Hingler, (demokracja), Tadeusz Cieński, Dr. Stanisław Bądryński, (nar. demokracja), Dr. Franciszek Stefczyk, dr. Miokołajski, (ludowcy), Artur Hausner, Adam Kuryłowicz, (socjaliści).

Przewodniczącego i zastępcę miało wybrać z pośród grona członków komitetu to samo zebranie. Był to wniosek Narodowej demokracji. Postawiono go w tym celu, aby przeszkodzić wyborowi dwóch kandydatów, którzy mieli największe szanse, w tym wypadku chodziło o prof. Chłamtacza i moją osobę, licząc, że w tem liczniejszym zgromadzeniu uda się im to zrobić.

Z wyborem przewodniczących szło dość ciężko. Ja stawiałem kandydaturę prof. Chłamtacza, nie chciał jej jednak przyjąć, proponując, szczerze i bezwzględnie, moją osobę jako twórcy całej tej roboty. Narodowi demokraci wysunęli kandydaturę Cieńskiego. Rezultat głosowań był taki, że dostaliśmy obydwaj

z prof. Chłamtaczem równą ilość głosów, w rezultacie uchwalono dwóch przewodniczących, prof. Chłamtacza i mnie.

Z przyjemnością tu zaznaczam i podkreślam lojalną współpracę prof. Chłamtacza, byliśmy z sobą w najściślejszym kontakcie i nigdy w ciągu jeszcze długich dni następnych a częstokroć bardzo ciężkich, nie było między nami żadnych rozdzźwięków.

Nie obeszło się bez walki przy rozdziale resortów. Chodziło przede wszystkim o trzy, resort bezpieczeństwa, finansów i aprowizacji. Narodowi demokraci kompetowali o te wszystkie, najbardziej zaś o pierwszy, jednakowoż ogromną większością głosów, prócz udziału w przewodnictwie, oddano resort bezpieczeństwa mnie. Finanse dostały się śp. dr. Stefczykowi. Apropozycję otrzymał tow. Adam Kuryłowicz, (który w tym resorcie, jak się później pokazało, dokonał bardzo wiele). Wydział zdrowia, opieki społecznej dostał dr. Bądryński i t. d.

Długą również dyskusję wywołała kwestja stosunku do Komitetu Obywatelskiego po tamtej stronie i stosunku do naczelnej komendy.

Narodowi demokraci jawnie i publicznie, zgadzając się już na utworzenie wspomnianego Komitetu, podkreślali ciągle konieczność łączności z komitetem Obywatelskim. Nie chcą ich posądzić o chęć sparaliżowania jednego i drugiego, ale nie inaczej byłoby się stało, gdyby w całej pełni myśl swoją przeprowadzili. Tereny bowiem działalności tych dwóch ciał były tak odmienne, tak różne i cele tak inne, że łączność ich oficjalna groziła paraliżem działalności ich obu, a co więcej, groziła członkom

komitetu obywatelskiego po tamtej stronie surową represją i ciężkimi karami.

Argumenty te wszystkie nie pomagały, tak jakby narodowi demokraci czuli się bezpieczniejszymi po stronie Ukraińców, niż po stronie, z której miała przyjść pomoc i siły do wyzwolenia miasta.

Druga sprawa, to kwestja podporządkowania naczelnej komendy. I znowu narodowi demokraci bronili się przeciw temu, jakkolwiek mówili, że w zasadzie się zgadzają. Nic im to jednak nie pomogło. Zebranie uchwaliło ten wniosek przeważającą ilością głosów. Przedstawiciel Komendy a był nim w tym wypadku kapitan De Lavaux wszedł w grono członków komitetu. Celem załatwienia sprawy z komendą i zakomunikowania o utworzeniu się komitetu i jego uchwałach, z równoczesnem żądaniem zastosowania się do nich, wydelegowano prof. Chłamtacza i mnie. Prof. Chłamtacz z powodu spóźnionej pory uchylił się od tej misji, prosząc, bym sam to uczynił. Polecono mi wreszcie przygotowanie projektu odezwy do ludności, zawiadamiającej ją o ukonstytuowaniu się komitetu, który to projekt miał być na następny posiedzeniu odczytany i definitywnie uchwalony.

Posiedzenie następne miało się odbyć na drugi dzień t. j. w czwartek 7 listopada o godz. 10-ej przy ul. Szeptyckich, w realności położonej w ogrodzie. Na tem zakończono zebranie.

Po zebraniu zbliżył się do mnie pan Tadeusz Cieński i pytał, czy idę teraz do komendy, gotów mi więc towarzyszyć, bo sam także się tam wybiera. Zgodziłem się na to i udaliśmy się tam obaj. Znalazszy się w gmachu komendy dowiedzieliśmy się, że p. Mączyński śpi. Wobec tego p. Cieński popro-

sił mnie, abym zaczekał a on pójdzie pana komendanta zbudzić. Naturalnie czekałem, czekałem kwadrans, minęło już pół godziny, a p. Cieński nie wraca. Było mi tego za wiele, odszukałem pokój sypialny pana Mączyńskiego i wszedłem. P. Mączyńskiego zastałem w łóżku a obok na łóżku siedzącego p. Cieńskiego. Pan Cieński zaczął mnie z miejsca przeproszać, że tak długo czekać musiałem, ale jak z rozmowy z panem komendantem wywnioskował, wyłaniają się pewne trudności, które w rozmowie chciał usunąć...

Przypomniałem wtedy p. Cieńskiemu, że Komitet polecił mnie porozumienie się z komendantem i usuwanie wszelkich trudności, któreby się naszczyły. Potem zwróciłem się bezpośrednio do pana komendanta Mączyńskiego z zawiadomieniem o mojej misji o utworzeniu komitetu i jego uchwałach, prosząc go, by zajął stanowisko i dał mi odpowiedź.

Pan Mączyński napiętrzył dużo trudności, natury wojskowej, politycznej, wreszcie, mówił, że „został zawiadomieniem zaskoczony“. Na te wszystkie wywody, wskazując mu na źródło uchwał, którem była wola i decyzja obu zgromadzeń, prosiłem, by do godziny 2-giej w nocy dał mi na piśmie odpowiedź.

Pożegnawszy się z obu panami, wyszedłem.

Istotnie z wojskową punktualnością pan komendant Czesław Mączyński przysłał mi list, w którym zawiadamia, że z całą chęcią podporządkuje się wybranemu komitetowi i gotów jest lojalnie współpracować.

Nie wiem, co wpłynęło na pana Mączyńskiego, że po trudnościach, jakie przedemną rozwijał, tak nagle tę decyzję powziął. Przypuszczam, że albo

czuł się w Komendzie na stanowisku komendanta nie dość pewnym, albo też istotnie liczył się z wolą zgromadzeń i ich opinii.

Prawdopodobnie zdecydował raczej względ pierwszy.

Zaraz bowiem po moim powrocie, w drugim dniu zwróciło się do mnie kilku wybitnych oficerów i opowiadali, co się dzieje w komendzie. Komenda, według ich relacji jest fikcją, każdy z komendantów odcinków zdany jest sam na siebie, a stan taki jest nieznośny. Wyrażali żądanie, by z tem skończyć, w przeciwnym razie oni gotowi zrobić to sami. Wiedząc więc, co się w komendzie dzieje, z całym naciskiem żądałem podporządkowania komendy. Zdawałem sobie bowiem z tego sprawę, że lepiej będzie, gdy porządek w niej robi Komitet, niż dopuścić aby zrobili to sami oficerowie, bo mogło by to się odbić na i tak słabej dyscyplinie wojskowej. Wiedząc to wszystko, mogłem zająć dość twarde stanowisko wobec pana Mączyńskiego, i żądać, by się do uchwały Komitetu zastosował.

Wprawdzie i po decyzji na stanowisku komendanta się utrzymał, ale dlatego, że oficerowie n. p. De Lavaux, mając oparcie w Komitecie, zdobywszy przez to większy wpływ w komendzie, wiele w niej braków usunęli.

Jak z tego wszystkiego widać, środa była dniem ciężkiego wysiłku dla mnie, jednak nie bez owocnego. Pokazały to już najbliższe dni, w których w ludność całą wstąpił nowy duch i wiara w szczęśliwe zakończenie sprawy. Przedewszystkiem zaś zmieniło się wiele w aprowizacji. Otworzono następ-

nego dnia sklepy, co tam w nich było to inna rzecz, ale ten fakt zmienił wygląd tej części miasta, ludność poczuła się jak u siebie w domu...

IX

„LOJALNA WSPÓŁPRACA“

Mimo jednak tej pracy mój dzień roboczy się nie skończył. W nocy jeszcze, po wizycie u p. Mączyńskiego miałem napisać odezwę, a ze względu na pośpiech, przedstawić ją chciałem na posiedzeniu Komitetu, w odblasku szczotkowej.

Napisałem więc jeszcze odezwę i wcześniej z rana, gdzieś koło godz. 6-tej udałem się do drukarni pana Chęcińskiego. Jedyna ta drukarnia w tej dzielnicy była w zarządzie wojsk austriackich, a w czasie walk w zarządzie komendy polskiej. Przyjęto mnie tam nieufnie. I oficer dyżurny i zarządzający drukarnią, z ramienia komendy kierownik, wykręcali się obaj, jeden brakiem rozkazu, a fachowiec brakiem czcionek i innymi technicznymi trudnościami. Dość stanowczo jednak zażądałem wydrukowania natychmiast odezwy grożąc odpowiedzialnością za jakąkolwiek zwłokę. To poskutkowało. Załatwiwszy sprawę, wyszedł za mną oficer dyżurny na korytarz i poufnie, w dyskrekcji powiedział mi, że właśnie z komendy dostał rozkaz dziś w nocy, żeby żadnych druków nie przyjmować! Weźmie jednak to na swoją odpowiedzialność i odezwę wydrukuje.

Już więc na wstępie spotkałem się z „lojalną“ współpracą panów Cieńskiego i Mączyńskiego! O godzinie 10-tej rano, gdy do drukarni przybyłem odezwa była wydrukowana i ze szczotkową odbitką.

zjawiłem się na posiedzeniu rządu (tak Komitet nazywano).

Jak wspomniałem poprzednio, posiedzenie odbyć się miało w małym domku, w ogrodzie przy ul. Szeptyckich, naprzeciw kościoła Elżbiety, o godz. 10-tej rano. Zbliżywszy się do ogrodu, zauważyłem wielu ludzi w cywilnych ubraniach uzbrojonych w najrozmaitszą broń, przeważnie myśliwską. Ludzie ci obsadzili przedewszystkiem furtkę prowadzącą do ogrodu, wypełnili sień, a po otwarciu drzwi do sali, w której miało się odbyć posiedzenie, wypełnili także salę.

Z początku nie rozumiałem, co to znaczy, co to za ludzie i skąd się wzięli. Byłem od tylu dni we Lwowie, chodziłem nocami, byłem w rozmaitych punktach miasta, a nigdzie podobnych nie spotkałem. Później dopiero dowiedziałem się, że była to t. zw. straż obywatelska, sławetna M. S. O., którą zorganizowano na dobre wtedy, kiedy już na zgromadzeniu w środę o konieczności utworzenia dobrze zorganizowanej straży obywatelskiej mówiłem.

Ten pośpiech w utworzeniu straży, był zapewne wynikiem pierwszej rozmowy z panem Mączyńskim, w której na brak takiej straży wskazałem. Prawdopodobnie więc zorganizowano ją tak pośpiesznie, aby mi zadanie ułatwić, gdy właśnie wziąłem resort bezpieczeństwa...

Przegląd jej i pierwszy występ jak widać nastąpił przed domkiem, w którym odbyć się miało posiedzenie komitetu...

Zaniepokojony tym widokiem wszedłem do sali, przedarłem się przez tłum tej „straży“ i stanąłem obok przewodniczącego prof. Chłamtacza, wielce

skonsternowanego a widząc, że członkowie Komitetu siedzą koło stołu, zrozumiałem, że odbywa się posiedzenie.

Zapytuję zatem głośno pana prezesa Chlamtacza, czy jest to posiedzenie Komitetu i co robią tu ci panowie? Prof. Chlamtacz wskazując na salę odpowiada, że żądają, żebyśmy obaj złożyli przewodnictwo i powierzyli je obecnemu na posiedzeniu, p. Cieńskiemu. Zrobiła się grobowa cisza. Wtedy wyjąwszy gwałtownie rewolwer z kieszeni i kierując go w stronę straży, zawołałem podniesionym głosem: kto?

Zrobił się rumor na sali, drzwi się otworzyły, sala się opróżniła. Pozostało jeszcze kilku ludzi pod ścianą, mówiących coś bardzo niepewnym głosem... Była to redakcja wychodzącego podówczas dzienniczka „Pobudka“.

Na sali pozostali sami członkowie komitetu i ja z rewolwerem w ręku.

Ze względu na pamięć zmarłego śp. Cieńskiego nie chcę przytaczać przemówienia, z jakim wtedy do niego się zwróciłem, uważając go za sprawcę tego incydentu. Pozostawię to pamiętnikowi!]

Że było ono cierpkie to napewno — a skończyło się żądaniem ustąpienia jego z Komitetu. Tak się też stało *). W jego miejsce wszedł prof. Franciszek Oziębły.

*) Skąd po tej scenie wzięły się nazwiska obydwu tych panów na odezwie, którą wówczas przedstawiłem komitetowi, i którą komitet z pewnymi zmianami uchwalił — nie wiem.

X

„POBUDKA“

Z dotychczasowego zachowania się narodowej demokracji zwłaszcza z zajścia w czasie posiedzenia komitetu przy ul. Szeptyckich, gdzie w drodze gwałtu, chciano narzucić swoje prezydium, widać, jak mało robili sobie ci panowie z położenia, w jakim znalazła się ludność i miasto. Co więcej, jak mało ich obchodziła obrona sama. Cały wysiłek skierowali tylko w jednym kierunku: wziąć władzę w swoje ręce.

Stan do dnia 6-go listopada opisaliśmy poprzednio, nikt im do tego dnia nie przeszkadzał, mieli ogromne pole do inicjatywy, nie zdobyli się jednak na nic twórczego. Tak jak w dzień 31 października, tuż przed zamachem, wieczorem walczono o komendę dla pana Mączyńskiego, nie mając za sobą nic, tak i tu, w tej części miasta, gdzie młodzież i robotnicy z własnej inicjatywy, a przede wszystkim z inicjatywy kapitana De Lavaux podjęli walkę, tu na tym terenie do dnia 6-go nie uczyniwszy nic, robiono to samo, chciano panować... Teraz zaś, kiedy powstała nowa organizacja, wyrosła z potrzeb, oparta o zaufanie całego społeczeństwa, wszystkich ugrupowań politycznych, w warunkach tak wyjątkowych, miano odwagę podjąć z nią walkę, — walkę wszystkimi środkami.

Na terenie odciętym od reszty miasta, nie wychodziło ani jedno pismo, nie było ani jednej redakcji. Wszystkie pozostały po tamtej stronie. Założenie tu pisma codziennego było rzeczą bardzo pożyteczną. Założono go więc; pierwszy numer pojawił się 7-go listopada. Nazwano go „Pobudką“

i zrobiono organem... VI-go okręgu!... Ta bowiem organizacja, założona kiedyś przez pana Paszkudzkiego, służąca do fałszowania wyborów, — ta firma, według rachub narodowej demokracji miała być najlepszą dla skupienia sił, zwłaszcza robotniczych!... Leży przedemną w tej chwili, kiedy to piszę, oprawny tom „Pobudki“. Daremnie by ktoś szukał w tym zadrukowanym piśmie, odbicia tego wszystkiego, co się wówczas działo. Jednej litery nie poświęcono obydwu wielkim zgromadzeniom, które wówczas były niebywałymi zdarzeniami: Nie umieszczono pierwszej plakatowanej odezwy Komitetu, podpisanej poraz pierwszy nazwiskami, której pojawienie się na murach, wywołało prawdziwą radość. Natomiast notowała „Pobudka“ skrzętnie każdą wiadomość z Warszawy, donoszącą o jakimś łobuzerskim wybryku chadeckim, wymierzonym przeciwko powstałemu Rządowi w Warszawie. Robiono to zapewne gwoli podniesienia ducha solidarności obywateli w otoczonem przez nieprzyjaciela mieście. A pismko to wydawano zapewne za pieniądze komendy, na rzecz której ofiary składali wszyscy obywatele.

XI

PRACA KOMITETU BEZPIECZEŃSTWA

Po pierwszym posiedzeniu przy ul. Szeptyckich, na którym zaakceptowano tekst odezwy, utworzono kilka biur dla każdego z resortów osobno. Polecono każdemu z kierowników, by zorganizował cały aparat i równocześnie przedstawił listę z nazwiskami zaangażowanych do pracy ludzi. Do wszystkich biur bezinteresownie zgłosiło się ich mnóstwo. Zaczęła się praca na dobre.

Jak wspomnieliśmy wyżej, najważniejszymi z resortów były: bezpieczeństwo, aprowizacji, finansów. Ten ostatni dostał się w ręce Dra Franciszka Stefczyka. Wybór był świetny.

Dr. Stefczyk rozwinął wszystkie zalety organizatora i człowieka niezłomnego charakteru, człowieka czynu i wielkiej odwagi cywilnej. Biuro jego w którym wybitną rolę odgrywał również Dr Tobiasz Aschkenase fungowało świetnie.

Ogromne trudności do pokonania miał tow. Adam Kuryłowicz, który stanął na czele aprowizacji. Zadanie to sprowadzało się do tego, jak zabezpieczyć przed bandytyzmem, żywność nagromadzoną jeszcze w dość dużej ilości, w pociągach stojących na rozległych stacjach lwowskich; jak się dostać do składów rozmaitych indywiduów, które zdołały w czasie rabunku składy swoje zaopatrzyć. W tej walce Kuryłowicz, przy pomocy specjalnej straży, złożonej z samych kolejarzy, był nieustraszony. Każda noc była polem walki zaciętej prowadzonej przez Kuryłowicza.

To też, jak powiedzieliśmy wyżej, od pierwszego dnia w dziale aprowizacji nastąpiła zmiana na lepsze. W kilka dni później kwestja opału, kwestja chleba, nie była już pierwszą troską ludności.

Niemniej trudne zadanie przypadło mnie, w dziedzinie bezpieczeństwa. Ale gdy wziąłem się porządnie do roboty, natrafiłem na trudności — natury politycznej. Panowie narodowi demokraci nie chcieli się pogodzić z nowym porządkiem rzeczy. Część miasta, w której działaliśmy, podzieliłem na rejony, na czele każdego rejonu stał odpowiedzialny człowiek, podobnie i w rejonach, na czele każdej sekcji.

Gdy począłem działać, powstał krzyk, chciano wmówić we mnie, że wszystko już właściwie jest. To wszystko jednak, co było, było w fantazji endeckich menerów. Człowieka zaś z bronią w ręku, komuś podporządkowanego i spełniającego swoje obowiązki, nie było! Organizację przeprowadziłem bezwzględnie. Najwięcej kłopotu miałem z byłym dyrektorem teatru lwowskiego p. Hellerem. Niech mu ziemia będzie lekka, ale robił, co mógł, by utrzymać się w roli jakiegoś rycerza pilnującego zazdrośnie swoich pozycji. Mówiono, że w okolicy w której mieszka, gdzieś przy ul. Listopada, miał najlepiej zorganizowaną straż, której od początku był komendantem. Na wezwania nie chciał się stawiać w biurze, odgrażał się wypowiedzeniem mi wojny. Postanowiłem z tem skończyć, w międzyczasie jednak trafiła go kula innego nieprzyjaciela w biodro, nie niebezpiecznie, wszelako automatycznie zszedł potem z widowni.

Stworzona w ten sposób i na specjalnym regulaminie zorganizowana straż miała największe trudności do pokonania w rejonie między ul. Janowską, Gródecką, Bema aż do peryferji. Tam bandytyzm hulał najbardziej. Tworzyły się gwardje z rozmaitymi opaskami na rękach, niby walczące na froncie, (może nawet w momentach pewnych istotnie tak było) a grasujące na tyłach. Miały one nawet swoje lokale, w których się jawnie i publicznie schodzono. Biczem bożym na bandytów był stary kolejarz nieżyjący dziś, tow. Marecki. Stworzył on koło siebie jakby aparat wywiadowczy z zaufanych ludzi i ci informowali go o wszystkim. Straże nasze następowały im coraz silniej na pięty, a gdy czuli się osaczanymi,

to aby uśpić czujność, organizowali demonstracje na cześć moją i innych znanych towarzyszy. Skończyć z nimi nie było więc łatwo. Do tego trzeba było mieć dużą siłę, ewentualnie pomoc wojskowa, która wraz z strażą mogłaby oczyścić ten teren.

Łatwo jednak było mieć dobry projekt, niż go przeprowadzić. Musiałem poprzestać narazie na straży samej, której i tak udawało się bardzo wiele zrobić.

Te sprawy nie wyczerpywały naturalnie mojej działalności. Pracując z przedstawicielem komendy, kapitanem De Lavaux, myśleliśmy i o froncie. Ten był nikły i słaby. Żołnierz, zwłaszcza tak rekrutowany jak wówczas, bez zaopatrzenia, po kilku dniach stawał się niezdolnym do walki.

Stworzyć rezerwy — to było wielkie zadanie. Najlepszym materiałem był robotnik, był wytrwałym, bardziej zahartowanym. Postanowiłem zwołać specjalne zebranie. Odkonczyło się ono w Grażynie i na placu jak poprzednie. Bez żadnych osłonek z miejsca zapowiedziałem zebranym robotnikom, bo ci tworzyli 95% zgromadzonych, że wezwę ich bez żadnej zwłoki natychmiast do szeregów.

Z zachowania się, z nastroju zgromadzenia odniosłem wrażenie, że nie trzeba będzie długo ich przekonywać. Wybrałem przeto ze zgromadzenia dziesięciu, którym poleciłem postarać się zaraz o papier, aby spisać nazwiska tych, którzy się zgłoszą.

Przemawiało jeszcze kilku z najstarszych, którzy apelując do młodszych, od razu siebie także wciągnąć polecili. Zgromadzenie zakończyliśmy natychmiast i robiliśmy spisy. Zapisano się z tego zgromadzenia 400 ludzi. Rozbiegli się na krótki czas do rodzin

i domów a w godzinę później, tak jak byli zapisani, zjawili się wszyscy. Porozumiałem się z Komendą, która poleciła część odprowadzić do szkoły Konarskiego a część do szkoły Sienkiewicza. Byłem w jednej i drugiej szkole. W obydwu przydzieleni oficerowie kwalifikowani ludzi. Do szeregów, na front, skwalifikowano wówczas około 150 ludzi, resztę przydzielono do straży w miejsca bardziej zagrożone.

Pobór podobny choć nie w takiej już liczbie odbywał się niemal każdego dnia.

Nawiasem chcę tu zaznaczyć, że za wiadomość o tem zgromadzeniu, podaną przez „Gazetę Poranną“ po tamtej stronie, Ukraińcy zdemolowali wszystkie redakcje, tak, że po dniu 7-ym listopada prasa polska przestała istnieć.

Wiadomość podana przez „Gazetę Poranną“ z dnia 6 listopada 1918 brzmi: „Oto na placu Bilczewskiego zebrało się momentalnie 400 kolejarzy, którzy jak jeden mąż zgłosili swój akces do wojska polskiego. Do zebranych przemówił w gorących słowach inż. Hausner“.

Tego faktu o zgromadzeniu i poborze nie zanotowała „Pobudka“, organ VI okręgu mimo, że redakcja mieściła się w budynku leżącym tuż koło placu Bilczewskiego, na którym zgromadzenie się odbywało...

W ten sam dzień zgłosiła się do mnie delegacja kolejarzy. Byli to Rusini, znani mi z nazwisk, między innymi Hołowczak i Liskowacki. Przybyli do mnie z prośbą po opiekę i pomoc. Zastraszeni byli z powodu spisu ludności na tem terytorjum.

Zdawało się im, że spis ten zarządzono celem poboru ludności do wojska. Uspokoilem ich, że nic im nie grozi, że mogą liczyć, iż żadnemu Ukraińcowi po tej stronie nie pozwolę zrobić krzywdy, o ile naturalnie zachowają się lojalnie. Przyrzekłem także, że w rozdziale żywności będą taksamo traktowani, jak wszyscy inni obywatele. Ta rozmowa ujęła ich bardzo, niektórzy płakali, a żegnając się ze mną, po porozumieniu się między sobą zapytali, czybym nie pozwolił im na zgromadzenie i czybym do nich na to zgromadzenie nie przyszedł? Zgodziłem się natychmiast i przyrzekłem, że na zgromadzeniu się zjawię. Zgromadzenie to odbyło się zdaje się 7-go listopada o godz. 5-tej w sali Sokoła ukraińskiego przy ul. Grodeckiej. Zjawiono się około dwustu ludzi. Przywitano mnie bardzo gorąco. Pan Hołowczak zagaił, zawiadomił zebranych o wyniku rozmów delegacji wysłanej do mnie i prosił mnie, żebym przemówił.

W przemówieniu uspokoilem ich co do aprowizacji i opieki, przyczem wskazałem na różnicę po tej i po tamtej stronie. Po mnie przemawiali inni, bolejąc nad tem, co się dzieje a jeden z nich, zdaje się Liszkowski, zaproponował, żeby wdrożyć rokowania z Ukraińcami po tamtej stronie i że oni Ukraińcy, o ile bym się na to zgodził, gotowi wysłać delegację i zagrozić, że jeżeli walk nie zaprzestaną, to oni wszyscy z żonami i dziećmi, porozumiewszy się z robotnikami polskimi przejdą front i tą drogą zmuszą do zaprzestania walki.

Myśl o pertraktacjach nurtowała we mnie, natychmiast po zorganizowaniu Komitetu. Nie obiecywałem sobie z pertraktacji wiele, wiedząc, że na czele

Ukraińskiego Komitetu po tamtej stronie stoją dwaj tacy mężowie, jak były redaktor „Diła” Łozińskij, z przekonań socjalista, anarchista, a wreszcie nacjonalista, a drugi jeszcze mi lepiej znany, mniej więcej w tym samym typie człowiek, adwokat dr. Lew Hankiewicz.

Chodziło mi jednak więcej o zawieszenie broni. Wiedziałem, że przyda się ono naszym szeregom, ale jeszcze bardziej ludności w ulicach silnie ostrzeliwanych i przyfrontowych. Położenie tej ludności odmalował mi zecer (nazwiska nie pamiętam), który korzystając z zawieruchy nocnej, ginąc z głodu z całą prawie rodziną i innymi mieszkańcami w domu przy froncie położonym przekradł się i w nocy zjawił się u mnie w mieszkaniu.

I ten fakt przyspieszył decyzję. Porozumiałem się z komitetem, odbyliśmy natychmiast posiedzenie i bez długiej dyskusji propozycję przyjęto.

Komenda była również temu rada, ustaliliśmy więc sprawy, które miałyby być przedmiotem porozumienia. Jako główną wysunąłem właśnie zaoprowizowanie ulic silnie ostrzeliwanych przyfrontowych, jak również usunięcie i pogrzebanie trupów, których dość było, zwłaszcza w jezuickim ogrodzie. Równocześnie przygotowaliśmy się także na wypadek wyłonienia się jakiegoś szerszego programu. Przedewszystkiem mieliśmy na myśli usunięcie walk z miasta. Zawiadomiłem także komitet o zgromadzeniu ukraińskim i o chęci wysłania z ich strony delegacji.

XII

**PIERWSZE PERTPAKTACJE KOMITETU
Z UKRAIŃCAMI**

Po porozumieniu się komend i po zgodzie czynników ukraińskich, wyznaczono czas i ulicę, którymi delegacja miała się udać na tamtą stronę. Była godz. 2-ga popołudniu. Wyjechaliśmy z prof. Chlamtaczem i kapitanem De Lavaux, przydzielonym specjalnie dla technicznego omówienia zawieszenia broni. W chwili, kiedyśmy mieli ruszać, zjawiła się delegacja ukraińska, a z nią ksiądz wysoki, blondyn. W kilku słowach powiedział mi, że dowiedział się o zgromadzeniu ukraińskim, o jego przebiegu i dlatego prosi, by pozwolono mu się przyłączyć, gdyż on ze swej strony zrobi wszystko, żeby z tą „ohydą“, jakiej jest świadkiem, skończyć. Mówił to istotnie bardzo wzruszony i ze łzami w oczach. Zgodziliśmy się na to i trzech Ukraińców usadowiliśmy w autach. Ksiądz wziął sztandar biały w rękę, stanął na przedzie i tak wjechaliśmy koło kościoła Marji Magdaleny w ul. Sykstuską.

Jadąc, zauważyliśmy prawdziwie dantejski obraz. Ze wszystkich piwnic domów wyciągały się błagalnie chude ręce ludzi, wołających o ratunek i pomoc, wołających o chleb i żywność. Tak zajechaliśmy na dolną Sykstuską, u wylotu której stała barykada.

Podczas rozmowy z komendantem ukraińskiego odcinka, gdy żołnierze odsuwali część barykady, aby przejść na tamtą stronę. w pewnej chwili zbliża się młody człowiek lat może 26 (wyglądał na adwokackiego dependenta), żyd, uzbrojony w rewolwer i opaskę milicjanta na rękę, podchodzi do komen-

danta ukraińskiego odcinka i wskazując na nas, pyta czyśmy się wylegitymowali. Na to pytanie reagował krótko oficer ukraiński, mówiąc: „Idy!“ Ale powiedział to takim głosem i w takim tonie, że było to już dla nas pewną satysfakcją. Był to milicjant żydowski. Pomyślałem o nim: ten jest za neutralny!

Znaleźliśmy się w Izbie handlowej, obsadzonej przez Ukraińców i tam spotkaliśmy się z członkami komitetu obywatelskiego. Pozostawiono nam dosyć swobody i korzystając z tego mogliśmy wiele wzajemnie sobie opowiedzieć. Między innymi byli tam dr. Stesłowicz, tow. Szczyrek, dr. Löwenherz i jeszcze kilku innych. Opowiedzieliśmy im, co się zrobiło po tamtej stronie w dniach ostatnich. Wiadomości te wchłaniali gorączkowo, ciesząc się z tego wszystkiego. Byli więc zdziwieni stanowiskiem p. Cieńskiego, jakie zajął w tych sprawach, po tamtej stronie.

Wreszcie znaleźliśmy się przy jednym stole z delegacją ukraińską. Formalności, legitymacje, pełnomocnictwa, wszystko to trwało bardzo długo. Czułem się jak w Wersalu przy pertraktacjach pokojowych... Tak sadzono się na formy i wzajemną uprzejmość, jakby tem zachowaniem dały się pokryć wszystkie brutalności, których wszyscy byliśmy świadkami. Nie mam zamiaru pisać, o czym tam mówiono, dosyć, że wynikiem obrad był rozejm, zdaje się na 24 godzin i to był cały sukces. Pozatem zobowiązanie obu stron zaaprowizowania ludności przyfrontowej.

Ciekawe były dzieje delegacji ukraińskiej, która z nami wyjechała. Dowiedziałem się później, że w ko-

mendzie, gdzie ją odstawiono, otrzymali poważne upomnienie, aby się politykowaniem nie zajmowali.

Słowo „zdrajca“, jakim ich tam przywitano, było jednym z najłagodniejszych.

Po podpisaniu umów rozstaliśmy się i z prof. Chlamtaczem wróciliśmy na Grodeckie.

XIII

DO DAJSZEJ PRACY

W miarę rozwoju organizacji przybywało i pracy. Do pomocy w moim resorcie stanął tow. Obirek, który nie pamiętam już w jaki sposób przedostał się z Krakowa. Od samego początku pomagali mi wytrawni pracownicy, śp. Mikołaj Czajkowski, Władysław Ziemiński i inni.

Walka z bandytyzmem absorbowała cały aparat nadzwyczajnie. Obmyślałem ciągle coraz to nowe środki. Wprawdzie teren bandytyzmu się zmniejszał, bo oczyściliśmy przede wszystkim z niego olbrzymią stację lwowską, ale nie mniej jeszcze śmiało podnosił głowę na terenach, przybywających z dnia na dzień, a zdobywanych przez nasze wojska. Ogromną jednak ulgą było to, żeśmy panowali na całym terytorjum kolei, a przede wszystkim uratowaliśmy od zniszczenia warsztat i ogrzewalnię. Będzie to niezapomnianą zasługą warsztatowców, którzy, zorientowawszy się zaraz po zamachu, bronili warsztatów zawzięcie. Już w pierwszych godzinach po przewrocie powstał komitet, z wielu tow., których nazwiska już przytoczyłem. Administracja kolejowa wie o nich, ale nikomu na myśl nie przyszło dotąd, aby tych rzeczywiście zasłużonych wyróżnić, gdy tymczasem odznaczenia i nagrody sypią się jak manna z nieba...

Za nagrodę niech im wystarczy czyn obywatelski, dobrze i ofiarnie spełniony.

W walce więc z bandytyzmem trzeba było sięgnąć po nowe środki. Porozumiałem się przeto z komendą i ta przydzieliła oddział żandarmerji. Oddział podzielono na oddziały mniejsze i te miały w pewnych odcinkach wraz ze strażą współdziałać. Obiecywałem sobie po tem bardzo wiele. Gdy wtem zjawia się u mnie kilku kolejarzy warstatowców, między innymi: Ryglań, Całka, Szpyt, Stelmach i Marecki z wielką awanturą, mówiąc mi, że w żandarmerji służą bandyci, których oni świetnie znają z Gródeckiego! Postanowiliśmy więc zrobić przegląd żandarmerji.

O tem wszyskiem zawiadomiłem komendanta żandarmerji i omówiłem z nim godzinę przeglądu. Przyszedłem wraz z tymi towarzyszami na miejsce, gdzie wyciągnięci w linię stali żandarmi. Umówiłem się z towarzyszami, że staną sobie w odległości takiej, żeby mogli rozpoznać każdego w szeregu, a ja z komendantem będę rozmawiał o ich potrzebach, o mundurach, żeby odwrócić ich uwagę, że są śledzeni. Tak chodziliśmy wzdłuż szeregu. Towarzysze notowali w pamięci nazwiska i rachowali, które miejsce w szeregu zajmuje każdy z tych panów. O ile pamiętam, dorachowaliśmy się w szeregu, w którym mogło być 50 ludzi, coś około szesnastu bandytów! Komendant był przerażony, cieszył się jednak z takiego połowu.

XIV

FRONT

Stroną wojskową, przebiegiem walk, nie zajmuję się zupełnie, nie leży to ani w planie mej pracy, ani

też w mojej kompetencji. Stykałem się jednak z wojskowymi, wytrawnymi żołnierzami z Legionów, armji austryjackiej, czy też rosyjskiej, bo było i takich wielu, z ich relacji wiedziałem doskonale, co się dzieje, jaką jest wartość żołnierza i jakie są szanse walki.

Zagadnienie to rozważaliśmy bardzo często na posiedzeniach komitetu. Położenie nasze z dnia na dzień się pogarszało. Z uzbrojeniem i amunicją były coraz większe trudności, a brak artylerji wybitnie dał się odczuwać. Wtedy to do pracy stanęły warstaty kolejowe. Z najwyższem uznaniem mówiono o sprawności i o wydajności pracy warstatów. Pancerzono lokomotywy, automobile, naprawiano stare armaty, by tą drogą przysporzyć tak koniecznego sprzętu wojennego. Ale mimo wszystko środki się wyczerpywały, a to tem więcej, że przy zajmowaniu nowych terenów ciągle trzeba było nowych ludzi i większej ilości broni.

Rozważając tak położenie, szukaliśmy środków porozumienia się z Warszawą i Krakowem. Od czasu do czasu zdobywaliśmy wiadomości, wszystkie zapowiadające pomoc. Ale pomoc nie nadchodziła. Wprawdzie minęło 10 blisko dni od pertraktacji i można było rozpocząć nowe, by zyskać na czasie i pomódz w aprowizacji ludziom, ale zależało to także od zgody Ukraińców. Zdecydowaliśmy się przeto na pertraktacje nad rozwikłaniem tego krwawego węzła, gdyż na froncie nie było nadzwyczajnie. Przedewszystkiem listopad ówczesny był nielitościwy. Śnieg, deszcze naprzemian i mróz nie były naszymi sprzymierzeńcami. Pozatem Ukraińcy zyskiwali na sile. Zwłaszcza artylerja, którą rozporządzali, oddzia-

ływała na psychikę fatalnie. Na ogół jednak z jakąś katastrofą się nie liczone.

W tych rozważaniach wyłaniał się plan pewien, który miał pewne szanse zrealizowania, i mógłby doprowadzić do usunięcia tej krwawej zmyły z miasta.

Nagle pewnego dnia dowiadujemy się, że na tamtą stronę przybył Michał Sokolnicki z jakimś delegatem z Francji. Ta wiadomość przyspieszyła decyzję, żeby pertraktacje podjąć. Znowu więc, jak poprzednio, załatwiwszy wszystkie formalności, wybraliśmy się z dr. Chłamtaczem na tamtą stronę. Jazda tą samą ulicą Sykstuską przedstawiała się mniej więcej tak, jak poprzednio. Jeden tylko przybył bardzo niemiły epizod. Dojeżdżaliśmy do budynku pocztowego, gdy w tem z ogrodu, do którego przylega (zresztą nie jestem pewny, czy z ogrodu), padł granat, lecz na szczęście, uszkodził nam tylko auto, które już po wybuchu granatu, stoczyło się, jakby samo, kilkanaście metrów niżej. Wysiadając z auta, zauważyłem w parterze bardzo wyraźnie kilku żołnierzy ukraińskich, którzy nam się przypatrywali. Ze zdziwieniem poznałem wśród nich dobrze mi znanego robotnika ukraińskiego, ubranego z fantazją w cylinder połamany, który strzelił z karabinu w naszą stronę. Był to trochę dozorca, trochę malarz, wielki frant, polityk, całe szczęście, że kiepsko strzelał. Jegomość ten jest „inwalidą“, ma dobrą budkę w dobrym miejscu, dobrze mu się powodzi, jest „pan“ całą gębą — nazwiska jego jednak nie wymieniam. Niech jakiś ukraiński historyk zrobi go bohaterem. Tak dostaliśmy się do odcinka, potem autem, nie wiem dlaczego, ale od-

wieziono nas do komendy ukraińskiej, zdaje się w Domu Narodnym.

W komendzie tej rozmawiano z nami jakiś czas i odesłano ponownie do Izby handlowo-przemysłowej, gdzie miały się odbyć pertraktacje.

Nie wiem, co zaszło, ale nastrój wśród ludzi z Kom. Obywatelskiego, z którymi się spotkałem, był dość dobry, a co ciekawsze, po tamtej stronie marzono także o jakimś trwalszem rozjemstwie. Patrzyłem troszkę na to inaczej, ale nie chciałem psuć szczyptą pesymizmu ich nastrojów. Rozpytywałem naprzód o tego egzotycznego Francuza. Poznaaliśmy go wkrótce — był to p. Villaine.

Pan Villaine wraz z p. Michałem Sokolnickim przyjechali z Bukaresztu, przyczem p. Villaine, jako przedstawiciel francuskiego poselstwa w Bukareszcie, miał polecenie rozpatrzenia się w „zatargu“ ukraińsko-polskim i doprowadzenia do porozumienia obu stron.

Pojawienie się dygnitarza francuskiego podniosło na duchu stronę polską, tembardziej, że poza oficjalną polityczną misją uważaliśmy go za człowieka, który przyjaźnie odnosić się będzie do nas. Pan Villaine mówił po polsku, znał też świetnie język rosyjski. W rozmowie z nim zauważyłem jednak, że dyplomata ten, kryje w sobie bardzo dużo sympatji dla Rosji. Przyjazd jego i obecność we Lwowie, jak powiedziałem, wpłynęła bardzo dodatnio na nastroje z naszej strony. Zdawało się nam, że większy program, mający na celu usunięcia walki z miasta, uda się przeprowadzić.

Pan Villaine był bardzo czynny. W czasie, kiedy z nim mówiłem, rozmawiał był już przedtem

z Ukraińcami i opowiadał, że bardzo energicznie i autorytatywnie wobec nich sprawę stawiał, żądając w imieniu rządu francuskiego zaprzestania walk.

W takim to nastroju zasiedliśmy znowu z przedstawicielstwem ukraińskim do pertraktacji. Rozwinięła się jak zwyczajnie długa dyskusja generalna. Historycy z jednej i drugiej strony znaleźli dla siebie wdzięczne pole do popisu. Zauważyłem, że ton ze strony Ukraińców był inny, jak dotąd. Ta generalna dyskusja zajęła nam całe popołudnie, wobec tego dalszy ciąg obrad odłożyliśmy na dzień następny. Wróciliśmy więc z prof. Chlamtaczem na nasze stanowiska, a nazajutrz znaleźliśmy się ponownie na dalszych pertraktacjach.

W czasie naszej nieobecności część delegatów z komitetu obywatelskiego opracowywała dość konkretny projekt, który zamierzała po porozumieniu się z nami przedstawić na konferencji wspólnej z delegatami ukraińskimi jako podstawę do pertraktacji.

Projekt polegał na tem, żeby władzę w mieście wzięła Rada gminna względnie Magistrat. Obie armje zaś, ukraińska i polska, miały być rozlokowane w mieście w punktach z góry przewidzianych. Projekt ten miał na celu doprowadzić do dłuższego rozejmu, by w tym czasie z jednej strony rząd warszawski, z drugiej zaś strony koalicja, miały dość czasu do załatwienia sprawy.

Osobiście bynajmniej nie podzielałem zdania, że Ukraińcy na projekt ten pójdą.

Wychodziłem z założenia, że koalicja dawała im bardzo mało gwarancji, żezejdzie z dotychczasowego stanowiska w stosunku do Rosji, że bronić będzie jej całości, że nie uzna sprawy ukraińskiej,

i że dlatego, o ile Ukraińcy będą mieli dosyć sił, atutu takiego, jakim jest opanowanie Lwowa, z rąk nie wypuszczą. Zgodziłem się mimo to z prof. Chlamtaczem, aby w pertraktacjach jako podstawę wspomniany projekt przedłożyć. Tak się stało i ku mojemu zdziwieniu i zadowoleniu po długich bardzo pertraktacjach i szczegółowym rozpatrzeniu każdego punktu projektu — projekt za zgodą obu stron został przyjęty. Pozostawało tylko wygotowanie czystopisów, które na drugi dzień miały być podpisane przez obie strony.

Wróciliśmy więc z prof. Chlamtaczem zadowoleni, by nazajutrz znaleźć się znów na konferencji, w której udział sprowadzał się tylko do podpisania aktu.

Wiadomość o dojściu do zgody lotem błyskawicy rozniosła się po całym mieście. Ludność zwłaszcza w ulicach nieostrzeliwanych, wyszła dość tłumnie na ulice a w ostrzeliwanych stała przed domami, pytając nas obu z prof. Chlamtaczem, gdyśmy jechali, o szczegóły.

Następnego dnia zastaliśmy obu członków naszej delegacji w izbie Handlowo-przemysłowej i wielu jeszcze ludzi rozmawiających o układach, przyczem wszyscy podnosili dobrą wolę i chęć do zgody ze strony ukraińskiej. W czasie tych rozmów w biurze przygotowywały się czystopisy w obu językach. Pracy tej pilnowali delegaci obu stron. Praca się jednak przewlekła, nie było szans, że przedpołudniem będzie gotową zupełnie.

Postanowiliśmy więc z delegacją ukraińską, że podpisanie aktu nastąpi popołudniu o godz. 3-ej.

Delegacja polska stawiała się punktualnie, akta były już wygotowane, oczekiwaliśmy tylko na przy-

jazd delegacji ukraińskiej. A jednak nie przyjeżdżała. Zaniepokoiło nas to, jednakowoż wiara dojścia do skutku aktu była tak duża, że nie przyszło mi na myśl, aby opóźnienie przyjazdu delegacji ukraińskiej mogło być jakimś złym prognostykiem,

Wreszcie zjawili się Ukraińcy. Z zachowania ich nie można było niczego wnioskować. Byli jak onegdaj rozmowni, tłumaczyli spóźnienie naradami z organizacją ukraińską. Wreszcie po otwarciu posiedzenia, kiedy przewodniczący ówczesny komisarz miasta Dr. Stesłowicz zagaił w paru słowach konferencję i czystopisy przedłożył, ze strony ukraińskiej poprosił o głos pan Michaiło Łozińskij i złożył krótkie oświadczenie. Sens jego streszczał się w tem, że przedstawiciele narodu ukraińskiego z wrogami na swoim terytorjum na podstawie warunków przedstawionych przez pana prezesa układać się nie mogą. Łatwo można zrozumieć niebywałą konsternację delegacji polskiej. Początkowe milczenie przemieniło się w żywą dyskusję, a wszystkie zarzuty, że przecież obie delegacje wspólnie projekt ten opracowywały, pozostały bez odpowiedzi.

Milczałem wówczas jak grób, przeżywając w myślach następstwa tego faktu. Uderzyło mnie tylko zachowanie się dr. Lwa Hankiewicza. Wesoły i bez troski rozmawiał ze swoim profesorem Chłamtaczem, przypominając mu swe czasy studenckie.

W czasie tej rozmowy podszedł do mnie ktoś i szepnął mi do ucha, że prosi mnie pan De Lavaux, który był na kurytarzu. Wyszedłem, znalazłem go w gronie ukraińskich żołnierzy. Gdy mnie zauważył, przeszedł koło mnie i szepnął mi do ucha, że pułk piąty jest już na dworcu lwowskim. Nie wiem, czy inni delegaci wiadomość tę znali, na mnie podziałała

ona piorunująco. Wtedy to jeszcze bardziej uderzyło mnie zachowanie delegacji ukraińskiej. Tłumaczyć je było można chyba przypływem wielkich sił i to zapewne wpłynęło na zerwanie pertraktacji.

Gdyby tak było, — myślałem — rozgorzeje znów straszliwa walka, pochłaniająca wielkie ofiary z jednej i drugiej strony.

W tym momencie podchodzi do mnie Lew Hankiewicz i żegna się ze mną ostentacyjnie, nazywając mnie towarzyszem. Wzburzony odparłem, że nie mogę go uważać za mojego towarzysza i pod ciężarem nurtujących myśli, patrząc na jego uśmiechniętą twarz, zapytałem, czy w sumieniu swoim udźwignie odpowiedzialność za tę krew, która się dziś leje? Skonsternowany trochę, odrzekł przy wszystkich tam obecnych, że sprawa ukraińsko-polska może być rozstrzygnięta tylko mieczem!

Podkreślam ten epizod, specjalnie dlatego, że tenże sam Dr. Lew Hankiewicz, ośmielił się głosić, że ja te słowa wypowiedziałem.

XV

PRZED ROZSTRZYGNIĘCIEM

Po powrocie spotkałem się z pułkownikiem Tokarzewskim, który dowiedziawszy się o zerwaniu pertraktacji, postanowił natychmiast uderzyć. Było to koło godz. 7-ej wieczorem. Opowiadał mi o zajęciu Przemyśla, o drodze, którą przebył do Lwowa.

Pod wpływem tej wiadomości pytałem, czy niema obaw, że po takim wysiłku jego pułk będzie zdolny jeszcze dziś do ataku? Rozważał to — plan ma już gotowy, ale jeszcze porozumie się z komendą i ostatecznie czas ataku naznaczy. Głównie

chodziło mu o moment zaskoczenia, bo jak mi mówił, jak zresztą zauważyłem sam w czasie pertraktacji z Ukraińcami, o przybyciu tak znacznych posiłków, ci jeszcze nic nie wiedzieli.

Mimo, że ludność po tej stronie o przybyciu posiłków nic nie wiedziała, bo wszystko było w ścisłej tajemnicy, jednak jakimś instynktem wiedzona, z najwyższem napięciem oczekiwała dnia następnego. Śpiących zbudził huk armat o nieznanem dotychczas nateżeniu. Wzięto to słusznie za dobry prognostyk, gdyż już wczesnym rankiem wszystko było na nogach. Przez ulice mimo strzałów tu i tam padających, ludność tej strony niemal tuż za wojskiem walczącym maszerowała do śródmieścia. O godzinie 12-ej miasto było wolne.

Był to piątek. Radość przelewała się ulicami, momentalnie zapomniano o wszystkich przejściach, w wielkim mrowisku ludzkim poszukiwano znajomych, żeby się tylko nagadać i podzielić swemi przeżyciami.

Nie mieszał się w tłum, nie dzielił jego entuzjazmu, jeden tylko element, — wzmocniony przez więźniów wypuszczonych przez Ukraińców — bandyci.

XVI

W WOLNEM MIEŚCIE

W porozumieniu z prof. Chlamtaczem postanowiliśmy odbyć posiedzenie Komitetu Bezpieczeństwa w ratuszu o godzinie 5-ej. Idąc na posiedzenie, po drodze dowiaduję się, że posiedzenie ma się podobno odbyć w Izbie Handlowo-przemysłowej. Zwróciłem się tam i już u wejścia spotkałem wielu endeckich agitatorów, zapraszających ludzi na odbywające się zgromadzenie. Sala była przepełniona, na try-

bunie cała elita narodowej demokracji i mowców wypowiadających peany na cześć bardzo wielu dygnitarzy, którzy według ich opowiadań cudów w obronie Lwowa dokonywali. Cała ta demonstracja miała bardzo niemiły posmak i zapowiadała z góry, jaki kapitał polityczny z wypadków lwowskich zbierze narodowa demokracja.

Około 6-ej wieczór zebrał się Komitet na ratuszu. Pokój prezydenta, gdzie się miało odbyć posiedzenie, był w okropnym stanie. Szafy, biurka były poniszczone, co gorsze, nie było światła, bo instalację gazową i elektryczną zniszczono. Przy świetle zatem świec mieliśmy obradować.

Prócz członków komitetu zebrało się bardzo dużo ludzi z rozmaitych sfer, którzy, dowiedziawszy się o posiedzeniu, ze zgromadzenia w Izbie handlowej przybyli do ratusza. Na rozmowach minęło dość czasu a w chwili, kiedy zamierzaliśmy usiąść do na rad, wchodzi woźny prezydjalny, p. Muzyka, błądy i zdenerwowany i krzyczy: „Uciekajcie panowie, bo cały ratusz przepełniony ludźmi, którzy chcą rozpedzić, jak powiadają, austriacką Radę gminną i żądają wydania im wiceprezydenta dra Schleichera“.

Nie łatwo to było pójść za radą p. Muzyki. Uciekać bowiem nie było dokąd. Wtedy to, wzięwszy świecę w rękę wyszedłem z nim na kurytarz. Kurytarz przepełniony był ludźmi. Przy słabem świetle świecy nie zauważyłem w tłumie ani jednej znajomej twarzy. Później tylko w głębi kurytarza zauważyłem kilku ludzi w czapkach kolejarских. Stanąwszy na krześle, podanem mi przez p. Muzykę, zapytałem zgromadzonych, co są za jedni i czego chcą?

Wówczas odpowiedzieli z krzykiem, że chcą usunięcia Rady miejskiej, chcą, żeby im wydać dra

Schleichera i że są z Grodeckiego. Zorientowałem się, że mam do czynienia z lumpenproletariatem, rozagitowanym przez kogoś, celem zakłócenia pokoju i wywołania awantury. Po tym ogólnym wrzasku tłum uciszył się trochę, a wtedy poszczególne jednostki zaczęły przemawiać już w łagodniejszym tonie, przy czym zwracały się osobiście do mnie, wymieniając nazwisko. Był to dobry znak, prosiłem, żeby się uspokoili i żeby mi pozwolono przemówić.

Naturalnie przywitałem ich bardzo „czule“, wyraziłem radość, że się tak licznie zeszli i że tak „gorąco interesują się sprawami gminy“, zgodziłem się całkowicie na ich program, pomijając tylko zrećcznie sprawę wydania wiceprezydenta Schleichera, który był właśnie tuż obok w sali. W czasie przemówienia dochodziły mnie odgłosy z podwórza ratuszowego. Poznałem zatem, że to nie tylko budynek, ale także podwórze ratuszowe zapełnione jest ludźmi.

To sprawę komplikowało. Przemawiając, myślałem nad tem, jakby wyjść z tej opresji, bo radę „austriacką“ chętniebym im oddał, ale za żadną cenę nie oddałbym im Schleichera. Zaznaczywszy więc, że godzę się z nimi najzupełniej, przedstawiłem jednak, że przecież tu Rady nowej nie wybierzemy i zaproponowałem, żeby to zrobić w niedzielę popołudniu o godz. 4-tej na zgromadzeniu, które zwołałem w Grażynie.

Propozycje te brawami i okrzykami przyjęła właśnie grupa kolejarzy, która się tu przypadkiem znalazła i pomogła do opanowania sytuacji. Część zgromadzonych nie była zadowolona, ale energiczne okrzyki kolejarzy pociągnęły za sobą innych. Grupa ta wreszcie z kolejarzem Mareckim na czele po okrzykach na moją cześć, z hasłem „agitujcie za

zgromadzeniem niedzielne", torując sobie drogę ruszyła z kurytarza, a za nią tłum. Na dole w podwórzu ratuszowem przemawiał Marecki, który zawiadomił zebranych, że „Rząd“ zgodził się oddać Radę miejską, a dalej, że zaprasza zebranych na pochód, przypominając jeszcze raz o zapowiadzanem niedzielne zgromadzeniu.

XVII

BANDYTYZM

Byliśmy uratowani. Po rozejściu się tłumy, zaczęły napływać wiadomości ze wszystkich stron o rozruchach w dzielnicy żydowskiej. Przypuszczam, że wielu z tych „obywateli“, do których przed pół godziną przemawiałem, brało już udział w tych rozruchach, o których zewsząd donoszono.

Obawy moje co do bandytyzmu zaczęły się ziszczać. Była już noc. Co zrobić, nie wiedziałem. Wojska w koszarach być nie mogło, a jeżeli jest jakaś część choćby drobna, to po trudach nocy i dnia nie przypuszczałem, żeby można go użyć. Reszta zaś wojsk w pogoni za nieprzyjacielem i w dalszej walce.

Wyszedłem z ratusza i niespodziewanie natrafiłem na auto kapitana De Lavaux, który z kilku żołnierzami jechał w stronę ulicy Ruskiej. Zatrzymałem go i informuję, co się dzieje. On wiedział daleko więcej jeszcze i mówił, że organizuje oddziały jakieś, któreby można było użyć do uśmierzenia tej dziczy. Ale czy się mu uda zebrać jakie siły, tego nie wie, jedzie w stronę Łyczakowa, może tam na jakiś oddział się natknie. Zaproponowałem mu, abyśmy, zanim uda się na Łyczaków, pojechali z tymi ludźmi, którzy są, w najbardziej zagrożoną część miasta.

Zgodził się na to. Naładowaliśmy karabiny i tak w czwórkę wraz z szoferem przez ulicę Krakowską pojechaliśmy w dzielnicę żydowską. Przed nami rozpostarł się widok palących się kilku domów. Dookoła stało grupami dość dużo ludzi płaczących i wołających o ratunek. Pojechaliśmy dalej, spotykając na trotuarach rozmaite graty i kręcących się chyłkiem a nastraszonych automobilem ludzi. Daliśmy kilka sałw w górę, przejechaliśmy dość dużą część miasta, bo aż do ulicy Słonecznej, stamtąd na Kaźmierzowską. Rozstałem się z De Lavaux przy ul. Sykstuskiej. De Lavaux pojechał na Łyczakowską.

Na drugi dzień z rana w sobotę przybył generał Roja, któremu podlegała grupa Tokarzewskiego. Zwróciłem mu uwagę na to, co się dzieje i żeby koniecznie zebrał rozporządzalne siły, ja zaś z mej strony zmobilizuję strażę w części Grodeckiej, a to celem radykalnego oczyszczenia miasta z mętów i bandytyzmu, który każdej chwili może zagrozić miastu.

Generał Roja przyrzekł, że energicznie zabierze się do tej roboty, że wyda zarządzenie, by każdego złapanego na gorącym uczynku na miejscu rozstrzelać. Mimo to wieczorem powtórzyły się znowu rozruchy; rabowano jeszcze, ale było już o wiele spokojniej.

W sobotę odbyło się znowu posiedzenie, na którym rozważano powiększenie liczby członków Komitetu bezpieczeństwa. Nalegali na to bardzo panowie narodowi demokraci. Innych trosk w tym dniu nie mieli! Po tem posiedzeniu, z kilku towarzyszymi koło godziny 11-ej w nocy, uzbrojony w rewolwer i laskę, poszedłem w dzielnicę żydowską. Panował tam już spokój zupełny. Ani w jednym oknie nie świeciło się, przeszliśmy jakąś jeszcze część dzielnicy i nagle na 2-giem piętrze domu zaświe-

ciło się światło. Zaciekawiony, zadzwoniłem do stróża. Po gwałtownem dzwonieniu stróż wyszedł i pyta: „Kto jest?” a gdym mu powiedział nazwisko (a znał je dobrze), odbarykadował bramę i weszliśmy do wnętrza. Pytałem go, co się działo, opowiadał o rabunkach, a gdy zapytałem, czy mógłby mniej-więcej określić, kto rabował, odpowiedział: „Ta — proszę pana, mało jest złodzieji we Lwowie?”.

„Tak — odpowiedziałem, — ale mówią, że nie tylko złodzieje i rabusie rabowali“. — „Ludzie ta nie rabowali — brzmiała odpowiedź — jak ktoś coś znalazł, to ta wziął“.

Pytałem wreszcie, kto mieszka tam i co za światło na 2-em piętrze? powiedział mi, że mieszka tam pan Barach właściciel składu papieru. Ponieważ się świeciło i ponieważ znałem Baracha jako właściciela składu papieru przy ul. Dominikańskiej, poszedłem na górę. Gdy zapukałem do drzwi wraz z dozorcą, długie prowadziliśmy pertraktacje, zanim mi otworzył. Zobaczywszy mnie, zdumiał się, a gdym mu powiedział, że przyszedłem dowiedzieć się, jak się ma, rozplakał się rzewnymi łzami. Opowiadał mi swoje przejścia i gdy go pytałem, kto według jego zdania rabował i mordował, odpowiedział z miejsca: „No kto? złodzieje i bandyci! mało ich jest we Lwowie?”. P. Barach zdaje mi się żyje dotychczas. Jestem przekonany, że o wizycie mojej w takich okolicznościach pamięta, i rozmowę tę potwierdzi.

Praca ta, jej rozmiar zbyt szczupły nie pozwala mi, by zająć się tu tzw. pogromem we Lwowie bliżej.

Ale te fakty, które już przytoczyłem, w związku z tem co powiedziałem o nagromadzeniu niebezpiecznych elementów w mieście, wystarczy nieuprze-

dzonemu, by wyrobić sobie zdanie o tzw. pogromach i dojść do innych zupełnie wniosków, niż doszli niektórzy z polityków żydowskich, którzy w tej mętnej wodzie łowili ryby.

Nazajutrz miałem przed sobą zapowiedziane zgromadzenie. Mógłbym był wprawdzie nie iść, nie poczuwałem się do obowiązku dotrzymania słowa takiej klienteli, jaka w piątek wieczór zebrała się na ratuszu... Ale pragnąłem skorzystać z tego zgromadzenia, by zwrócić uwagę robotnikom, na których liczyłem, że przyjdą, na to, co się stało. Poszedłem więc i mimo, że zgromadzenie zapowiedziałem na 4-tą, sala była już przepełniona, zaledwie mogłem się przecisnąć.

Stanąwszy na stole, aby zgromadzenie zagaić, zauważyłem, że spotkał mnie zawód, bo kolejarzy na których liczyłem, było mało. Nie pozostawało mi nic innego tylko zgromadzenie rozpocząć, gdyż tłum się niecierpliwił i rozpoczęcia żądał.

Zagajalem dość długo, licząc, że przecież kolejarze napłyną w większej liczbie. Istotnie, dość energicznie przeciskali się przez tłum, by dotrzeć do stołu, na którym stałem. Na przewodniczącego zaproponowałem tow. Langa. W miarę przemówienia sala przybierała inny wygląd. Kolejarze nie zawiedli.

Gdy zacząłem mówić o rozruchach w dzielnicy żydowskiej, wtedy jakiś oficer w mundurze austriackim, stanąwszy koło mnie na stole, usiłuje pociągnąć za sobą jakąś młodą niewiastę z ręką na temblaku. Pytany, czego właściwie chce, odpowiada, że chciałby przemówić i pokazać zgromadzeniu, tę oto niewiastę, której żydzi w czasie, gdy robiła jako sanitariuszka opatrunek, złamali rękę. Ten występ oficera uważałem za prowokację, oparłem się ener-

gicznie jego żądaniu i z oburzeniem zwróciłem się do niewiasty, mówiąc, że winna się wstydzić swojego postępku. Sala przyjęła to dość spokojnie choć dały się słyszeć pogroźki przeciwko żydom. Potym incydencie zjawia się znowu tuż przed trybuną starszy jakiś jegomość, — robił wrażenie albo człowieka silnie zdenerwowanego, albo warjata i krzyczał jak opętany: „Bić żydów!“.

Energicznie wystąpił wówczas przewodniczący Lang, który potężnym głosem huknął na mówcę i zagroził, że każe go wyrzucić z sali. To poskutkowało. Mówca się uciszył, mogłem już spokojnie omówić wypadki lwowskie, potępić rozruchy w dzielnicach żydowskiej i zaproponować uchwałę, by zgromadzenie dzisiejsze poleciło Padzie robotniczej lwowskiej wybór delegatów do Rady Miejskiej.

Sprawozdanie z tego zgromadzenia umieścił „Kurjer Lwowski“; zacytuje ustęp, odnoszący się do uchwalonej rezolucji.

„Kurjer Lwowski“ 25-go listopada 1928.
„Przyjęto wnioszek“ potępia się ekscesy w dzielnicach żydowskich uprawiane przez indywidua wypuszczone z więzień i te których uwięzić nie można było. Zgromadzenie wzywa wszystkich uczciwych ludzi do energicznego przeciwdziałania wszelkiemu gwałtowi“.

W niedzielę w nocy panował w mieście już zupełny spokój. Postawa czynników rządowych i społeczeństwa były dostateczne, by motłoch nagromadzony w ciągu wojny w zaułkach miejskich uśmierzyć.

*) Nazwiska jego choć je znam nie podaję, żyje on do dziś dnia i jest urzędnikiem magistratu w zakładzie pogrzebowym (!)

XVIII

TYMCZASOWY KOMITET RZĄDZĄCY

W poniedziałek w b. namiestnictwie zebrał się komitet Bezpieczeństwa i delegaci wszystkich ugrupowań politycznych. Rozszerzono Komitet i nazwano go Kom. Tymczasowym Rządzącym. Do Komitetu weszli: jako przewodniczący: PP. Adam Dubanowicz, Hausner, Stesłowicz. Jako członkowie: Głębiński, Stefczyk, Świtalski, Skarbek, Laskownicki, Kuryłowicz, Chlamtacz, Oziębły, Löwenherz, Stahl, Głazewski, Szczyrek, Neumann, Obirek, Mikołajski.

Utworzono resorty: koleje i drogi Hausner, skarb Głębiński, zast. Sjcfczyk, wojsko Dubanowicz zast. Świtalski, administracja Skarbek, zast. Chlamtacz, poczta telegraf Laskownicki, aprowizacja Kuryłowicz, szkolnictwo Chlamtacz, zast. Oziębły, sądownictwo Löwenherz, zast. Stahl, odbudowa kraju i odszkodowania Głazewski, zast. Szczyrek, przemysł i handel Stesłowicz, zast. Neumann, ochrona społeczna i sprawy sanitarne Obirek, zast. Mikołajski.

Władza, która w najcięższych momentach spoczywała na barkach kilku ludzi, dostała się częściowo w ręce inne, a choć w ciężkiem jeszcze położeniu znajdował się Lwów, jak późniejsze wydarzenia wskazują, to jednak rządy tego nowego ciała były daleko łatwiejsze.

Po ukonstytuowaniu się Komitetu Rządzącego, gdy wychodziłem już z sali podszedł do mnie komisarz miasta p. Stesłowicz i poprosił mnie żebym przyszedł koniecznie o godz. 8-ej do hotelu krakowskiego. Chodziło mu o to, jak mówił, żeby w gronie kilku ludzi po tych wszystkich przejściach razem spędzić wieczór. Tłumaczyłem się pilnymi

bardzo obowiązkami, ale bardzo prosił, żebym nie odmówił i punktualnie o 8 ej przyszedł.

Istotnie tak się stało i z pewnem opóźnieniem zjawiłem się w hotelu krakowskim. Po wejściu do vestibulu zwrócił moją uwagę jakiś uroczysty strój i miny właściciela hotelu i kelnerów. Pytałem o pana Komisarza miasta, wskazał mi separatkę i powiedział: „Właśnie na pana czekają“. Wszedłem zastałem około 30 osób, siedzących już przy stole. Zebrani powitali mnie b. życzliwie a p. Stesłowicz, wzięwszy pod ramię, posadził obok siebie. Na stole kwiaty — poznałem, że nie chodzi tu o pogadankę w gronie kilku ludzi, ale o coś zupełnie innego. Gdy zająłem już miejsce, Dr. Stesłowicz bardzo uroczyście zwrócił się do mnie jako gospodarz miasta, dziękując mi za to, com dla miasta uczynił, poczem prof. Chlamtacz poprosił o głos i w mowie wygłoszonej jako współpracujący ze mną, mówił o pracy naszej, podkreślając wybitne moje zasługi w dziele odparcia najazdu na miasto.

Byłem tem wszystkiem, powiedziałbym, bardzo nieprzyjemnie dotknięty. Nie byłem zupełnie przygotowany psychicznie na tego rodzaju uroczystość i wprost zaskoczony. Po prof. Chlamtaczu przemówił hr. Skarbek. Ze swej strony do komplementów, jakie mnie spotkały, dołożył swoje.

Poczuwałem się do obowiązku, na przemówienia te odpowiedzieć. Dziękując za uznanie — zaznaczyłem — jeżeli praca moja mogła się na coś przydać i dała wyniki o jakich panowie byliście łaskawi wspomnieć, to zawdzięczam to zaufaniu, jakim się cieszę wśród zorganizowanego proletariatu Lwowa, a zwłaszcza kolejarzy. Im to należy się głównie wdzięczność miasta i całego narodu.

Rozwinęła się potem towarzyska rozmowa, a po jakimś czasie prosi o głos jeden z uczestników zebrania, były członek Komitetu Bezpieczeństwa i T. K. R., obecnie dygnitarz szkolny. Ponieważ w trakcie pisania nie porozumiałem się z nim, czy zgodziłby się nazwisko opublikować, dlatego nazwiska nie wymieniam. Przemówił on mniej więcej w te słowa:

Nie jestem mówcą i nie byłbym w stanie podnieść zasług pana Hausnera w obronie Lwowa, jak to zrobili inni. Poczuwając się jednak do obowiązku, hołd mój wyrażę inaczej. Przyznaję się tu publicznie, że byłem wydelegowany przez Org. VI Okręgu, aby pana Hausnera zastrzelić i zamierzałem to zrobić. Przyznając się do tego, zdaje mi się, że wyraziłem najwyższe uznanie“.

Teraz zrozumie czytelnik moje szkopały, dlaczego nazwiska tego pana nie wymieniam, zaznaczam tylko, że żyje i jest dygnitarzem szkolnym.

Konsternacja była duża, ale szczerść tego oświadczenia ujęła obecnych.

Epizod ten przytaczam, nie dlatego, aby robić komuś przykrość, lub też aby szukać jakiejś satysfakcji dla siebie, ale dlatego, żeby w związku z innymi opisanymi zdarzeniami mógł sobie czytelnik wyrobić zdanie, jak to właściwie było w ciężkich dniach listopadowych...

XIX

ZAKOŃCZENIE

Podjmując się napisania tej pracy w niezwykle krótkim terminie, bo zaledwie w ciągu kilku dni nie mogłem mieć całości przed sobą i stąd też nie mając całości, nie podkreśliłem pewnych rzeczy jak bym pragnął bardziej, inne mniej, gdyż każdą napi-

saną kartkę posyłać musiałem natychmiast do drukarni.

Wiem, że praca ta nie jest wyczerpującą, może niektórzy z tych, co o napisanie prosili, będą z niej niezadowoleni.

Wiem, że przedewszystkiem zamało uwypukliłem działalność jednostek i grup, zwłaszcza wśród robotników. Bo zebrane fakty wskazują, że i bez mojego udziału powstałaby na tym terenie organizacja, a z nią siły, któreby odegrały taką samą rolę jak z udziałem moim.

Nie piszę tego gołosłownie. Bo cóż innego znaczy to, że warsztaty kolejowe w całości zostały ocalone i od pierwszej chwili po zamachu gospodarował tam Komitet na czele z Całką, Ryglanem, Jahnsonem i wielu, wielu innymi. Co znaczy ten fakt, że kasę stacyjną, rozbroiwszy Ukraińców zajęli Zięborowski, Sawcia, Kasper, Wolf, Baraniecki i inni. Co znaczy wreszcie, że gdy w dzień zamachu zaraz z rana zajechało auto z żołnierzami ukraińskimi, i gdy wszedł oficer ukraiński do kuchni kolejarzy, szukając broni, (a była tam rzeczywiście) to zebranych tam kilkunastu kolejarzy rozbroiło żołnierzy i oficera, poczem zabrało auto, odsyłając go do szkoły Sienkiewicza.

Obiecuję sobie w przyszłości, gdybym miał więcej czasu do dyspozycji, jeszcze skrzętniej zebrać materiały, opracować je i wydać, aby złożyć hołd publiczny istotnej zasłudze.

Wtedy wartoby rozszerzyć tą pracę i opisać także, co się działo w innych ośrodkach tej części kraju, w które skupiały się poważniejsze siły robotnicze, zwłaszcza kolejarzy. Wszędzie tam, jak w Przemysłu, gdzie na czoło akcji oporu a następnie walki

zdecydowanej, stanął tow. Dr. Lieberman, Teblik, Schälcel, Jasiński, w Stanisławowie tow. Szałaśny, Uckman, Ochman, Bogdanowicz, Mosler, Schmärzler, w Kołomyji tow. Szyszka, Łopatka, Święcicki, w Stryju Sucharski, Ożga i wielu, wielu innych — wszędzie tam robotnicy oparli się gwałtowi, do pracy nie stanęli i to sparaliżowało dotkliwie zwłaszcza akcję wojskową Ukraińców.

To też władze ukraińskie zemściły się często — kroć krwawo, na kolejarzach, rozstrzeliwując ich bez sądu, jak to miało miejsce w Brzuchowicach, lub też za wyrokiem sądowym, jak to było w Złoczowie.

Po zamachu, gdy dyrekcja cała i urzędnicy i cały aparat wogóle przestał działać, znowu zawiązał się Komitet który jej miejsce zajął. Na czele stają panowie: Barwicz Karol, Radoszewski Józef, Neczas Marjan, Varchelly Włodzimierz, Tarczyński Stanisław. Dział ruchowy obejmują: Ranold Marjan, tow. Patkiewicz Karol, tow. Ressel Karol, Dział maszynowy: Zahajkiewicz Karol, Żelechowski Marjan, Cieślak Riotr, Klarenbach Rudolf, Malinka Jan, wszyscy towarzysze. Dział utrzymania dróg i budynków: Jarosiewicz, Swirski, Zysko, Świstelniczi, Schindler. Warstatowy: Blauth, Hütter, Lang, Wójcik. Dział handlowy: Stawarski Antoni, Lisowski Jan, Supiński Władysław, Adamcio Józef. A więc w trzech czwartych towarzysze wraz z urzędnikami stworzyli aparat, który tak olbrzymie oddał potem usługi.

Chcę specjalnie podkreślić zasługi p. inżyniera Karola Barwicza, który w czasie walk, osaczony w budynku dyrekcji przy ul. Zygmuntońskiej sam czynnie, dając broń i amunicję zasłużył się w walce, nie mówiąc już o tem, że przy odbudowie linii

Lwów-Przemyśl ustawicznie niszczonej przez Ukraińców, potrafił przez swoją energję przezwyciężyć te trudności i połączenie Lwowa z resztą Polski zabezpieczyć.

XX

NIECO POLEMIKI

Pan Mączyński w swojej książce pt. „Boje Lwowskie“ zajmuje się moją działalnością, którą tu opisałem i moją osobą. Daruję mu wszystkie fakty tam cytowane.

W zdumienie mnie wprawia, skąd je brał. Nie mam pretensji do niego, że nie wierzy, dowodzi tylko bowiem, jak bezkrytycznie je przyjmowali, jak kiepsko był informowany. Sam ich przecież zebrać nie mógł, bo wierzę mimo wszystko, że prowadząc walkę w tak ciężkich warunkach, nie miał czasu zajmowania się rzeczami, które się działy poza murami komendy.

Nie mogę mu jednak darować rozmaitych jego przesłanek, świadczących jak dużo miał uprzedzeń, podejrzewając mnie o jakieś piekielne zamiary, choćby np. o związek z powstałym w dniu 8 listopada rządem lubelskim.

Sądzę, że gdy pracę tę przeczyta spokojnie, dowie się, jak byłem nieszczęśliwy, a równocześnie ciekawy, co się na bożym świecie działo, a przecież nic a nic nie wiedziałem.

Innych zamiarów, jak ocalić miasto, jak obronić mieszkańców przed brutalnym najazdem — nie miałem.



